Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 29 grudnia 1935 r. Nr. 52

N A N O W Ą D R O G Ę



1 9 3 6

Z wiarą witamy ciebie, Nowy Roku,
Aby pochwycić lepszych dni nadzieję..
I radość błyska znowu w naszem oku,
Bo w szczęsne jutra wierzymy koleje.

We własne siły zawsze wierzyć trzeba,
Bo wiara daje nam siły olbrzyma;
Każe się wspinać do jasnego nieba
I o drodze, w której nic nas nie zatrzyma.

Z wiarą w swe siły nie zlękniem się burzy
Duchem przełamiem siłę przeznaczenia,
A nasze niebo się kiedyś rozchmurzy
I każdy ujrzy swą gwiazdę bez cienia.

Więc dalej idźmy z zwycięstwa nadzieją,
Z zapasem silnej, nieugiętej woli.
— Choć złudy marzeń nieraz się rozwieją,
Nam nasza wiara zwyciężyć pozwoli.

JADZKA z KUJAW.



POWIEŚĆ 13)

— Krysiu — szepce Zbigniew — Krysiu...

— Tak, tak...

Dotknął mej ręki. Uśmiecha się i mówi:

— Pomyśl, już niedaleki czas...

— Tak, Zbigniewie — powtarzam jak automat. — Już niedaleki czas...

Co to? Czy cały pokój wiruje? Wszystkie postacie rozpływają się w mgle, która zasnuwa mi oczy. Niema już „cioci Józi", Janusza, Eli. Tylko znajomy, drogi głos szepce:

— Co tobie? Płaczesz?

To Zbigniew przestał grać. Podszedł tak cicho. Pochyla się nade mną, patrzy, powtarza:

— Krysiu? Ty płaczesz?...

— Tak ,tak...

Odzyskuję świadomość czasu i miejsca. Spoglądam w okno. Ostatnie błyski dnia pogasły dawno. Z sąsiedniego pokoju, przez drzwi otwarte pada snop światła. To stara Wątkowa przyniosła lampę. Ocieram łzy, odgarniam włosy z czoła, uśmiecham się i mówię:

— Już przeszło. Grałeś zbyt pięknie.

Zbigniew milczy. Wiem, że za chwilę powie: „Grałem dla ciebie". I wiem, że nie należy pozwolić, by to powiedział. Poczynam się niezdarnie tłumaczyć: To preludjum zawsze na mnie tak działa... Nie mogę słuchać go spokojnie... Tyle w niem bólu, męki, taka bezbrzeżna melancholja...

— A przytem w twojej interpretacji... Właśnie. In-ter-pre-ta-cji. Co za bajeczne słowo. W mgnieniu oka skupiam całą uwagę, aby je wymówić bez omyłki. I po chwili już innym tonem, karcąco:

— Jak mogłeś zarzucić muzykę? To zbrodnia.

Do pokoju wsuwa się Wątkowa.

— Proszę pana, czy już można podawać?... — pyta nieśmiało.

— Nawet trzeba! — odpowiada Zbigniew dość oprysklliwie i nagle zwraca się ku mnie: — Jak mogłem zarzucić muzykę? Dziwi cię to? Prawda, miałem podobno wielki talent. Ale oprócz talentu, moja droga, potrzebne są jeszcze inne rzeczy: wiara w siebie, wytrwałość, praca. Wreszcie — warunki do pracy. Tego wszystkiego zabrakło. A przytem, od chwili swojej choroby, Ela nie znosi muzyki. Widziałem, jak ją to drażni, kiedy zaczynam wygrywać pięciopalcówki. Więc dałem spokój.

Zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju. W pustej, prawie ogołoconej z mebli bawialni, każdy krok rozlegał się echem.

— Tak — zaczął po pauzie, zatrzymując się znowu przede mną. — To już skończone. Trzeba tylko powiedzieć sobie w porę: basta. Mogłem być wielkim artystą. Nie będę nim, to wszystko. Wielu jest powołanych, ale niewielu wybranych.

— Mogłeś należeć do wybranych, Zbigniewie.

— Mogłem! — powtórzył z goryczą. — Oto straszliwe słowo bez wartości. Służy jedynie do stwierdzenia wszystkich omyłek, jakie się popełniło w życiu i których już nic nie naprawi. Et, dajmy temu pokój. Lepiej chodźmy jeść krupnik, który oddawna stygnie zapewne, ku rozpaczy Wątkowej. Potem pójdziemy nad staw, zobaczyć dwa księżyce w pełni, a potem odwiozę cię do domu.

XXXI.

A jednak jest w tem wszystkiem trujący czar. Upijamy się wspominaniem, aż do utraty świadomości, że czas przechodzi. Dopiero po powrocie do domu trzeźwieję. Liczę wtedy minione dni: siedem, osiem, dziewięć. Zbigniew nic dotąd nie wspomniał o wyjeździe. Czy to ma jakiś związek ze mną?... Czuję, że tak, ale nie śmiem zapytać. Kiedy go widzę, myślę tylko o jednem: że wolno mi jeszcze patrzeć na niego. I patrzę. A jednak, trzeba mieć trochę odwagi...

Dzisiaj, gdyśmy siedzieli jak zwykle, na ganku, patrząc w zalany słońcem sad, spytałam nagle:

— Jak stoją twoje sprawy? Znalazłeś kupca?

— Kupca? Na co?

— Mówiłeś przecież o sprzedaży Klimontowiec. Myślałam...

— Ach, tak. Rzeczywiście, przyjechałem z takim zamiarem. Ale już tego nie zrobię?

— Czemu?

Spojrzał na mnie badawczo, prawie ze zdumieniem. Pożałowałam pytania, na które mogłam w jego oczach wyczytać wyraźną odpowiedź: Przecież ty sama dobrze wiesz. Czy udajesz, że nie rozumiesz?...

— Skoro już o tem mówimy, — zaczął Zbigniew po chwili, — mogę cię teraz zapewnić, że Klimontowiec nie sprzedam.

— Ostatecznie, mieszkacie przecież w mieście. Nie osiedlicie się tutaj...

— Kto wie? — szepnął.

— Myślisz, że Ela zgodziłaby się przyjechać tu na stałe?

— Jeżeli nie na stałe, to chociaż na parę miesięcy. Właśnie zamierzam napisać do niej.

„Napisać!" — mimowoli odetchnęłam z ulgą. A zatem nie wyjedzie stąd jutro, ani pojutrze. Jednakże wtrąciłam po chwili:

— Ela pewnie się dziwi, że siedzisz tutaj tyle czasu. Przyjechałeś na kilka dni, a to już dwa tygodnie...



Niemałego wyczynu dokonała pilotka angielska Jean Batton, która przebyła Atlantyk w ciągu 15 godzin i 15 minut.

— Słuchaj, Krysiu. Jeżeli chcesz mi robić wymówki, proszę, czyń to otwarcie. Powiedz, że nie mam serca, bo zostawiłem chorą żonę w Warszawie. Gorzej: postępuję wprost nieuczciwie, ponieważ w żadnym liście nie wymieniłem, jakie sprawy opóźniają mój powrót. Jeśli znasz tę przyczynę, skarć mię, lub rozgrzesz. Dawno już dałem ci prawo decydowania o naszym wspólnym losie, niestety... Nie możesz tylko udawać, że nie rozumiesz, dlaczego odwlekam wyjazd i staram się o nim zapomnieć...

Mówił nieomal z irytacją. Piękne jego oczy ściemniały nagle, głos drżał.

— Wierzaj, Zbigniewie, — szepnęłam. — Wolałabym nie domyślać się tej przyczyny. Bo jeżeli istotnie zostałeś w Klimontowcach dlatego, że...

— Dlatego, że ty tu jesteś! — wybuchnął. — Tylko dlatego. Innej przyczyny niema.

— W takim razie miałam słuszność, obawiając się tego spotkania. Dla wszystkich byłoby lepiej...

— Być może — odparł krótko. — Ale się stało. Nie mówmy o tem więcej.

Zamilkliśmy oboje. Słońce poczynało świecić coraz jaskrawiej poprzez liście. Małe, zwinne jaskółki latały tuż nad ziemią, pokrzykując swoje żałosne piiwiit, pii-wiit. Chwilami tak zniżały lot, że zdało się, zawadzą skrzydełkiem o żwir na ścieżce. Goniąc wzrokiem ich błyskawiczne ruchy, dostrzegłam w jakiejś chwili zgnębioną twarz Zbigniewa. Nie patrzył na jaskółki, ani na słońce. Patrzył przed siebie, nie widząc, jak człowiek bardzo zajęty myślami.

Ciepła fala przepłynęła mi przez serce. Więc on jednak cierpi z mego powodu. A to przecież nie moja wina, nie moja wina, nie moja...

— Zbigniewie, — odezwałam się bardzo łagodnie. — Przecież to poprostu śmieszne. Nie możemy dłużej rozmawiać, jak dwoje smarkaczy. Spojrzyj

na mnie. Przypomnij sobie, ile mam lat. Ile to lat minęło...

— Wiem, — przerwał — wiem, co mi powiesz. Znam już ten twój rozsądek. Popsuł nam życie. Ale teraz, pamiętaj, teraz ja ciebie odnalazłem. I nie myślę stracić cię z oczu. O, nie. I proszę, nie mów nic więcej. Nie mów, że krzywdzę własną żonę. Kto wie, czy właśnie Ela nie zrozumiałaby najlepiej, gdyby wiedziała...

— A jednak zataiłeś przed nią nasze spotkanie. Tem samem określiłeś nasze wzajemne uczucia. Zepchnąłeś je do rzędu występnych. Mogły być piękne, a stały się odrazu szkaradne. Źle uczyniłeś, Zbigniewie, bardzo źle. Starasz się wmówić we mnie i w siebie, że przyjaźń nasza jest prawdą, a obwijasz ją w samym zarodku przędzą drobnych kłamstw.

— Mylisz się. Nie okłamuję Eli. Nie okłamywałem jej nigdy, ani przez jedną chwilę. Nawet wówczas. I jeżeli teraz nie piszę, to dlatego, że chcę jej o tem powiedzieć. Chcę, żeby mogła patrzeć mi prosto w oczy i wyczytać w nich całą prawdę.

— Jaką prawdę? Zbigniewie, na miłość Boską...

Ukrył twarz w dłoniach. Zapadło długie milczenie, którego żadne z nas nie śmiało przerwać. Słońce już zaszło. Od pola powiał rzeźwy wiatr, przynosząc gęstą, miodową woń tatarki. Kędyś, daleko, powracające z roboty dziewczęta śpiewały na przeciągłą, żałosną nutę jedną z tych swoich ulubionych piosenek. W przezroczystej ciszy wieczoru każde słowo dźwięczało wyraźnie:

Zbigniew podniósł głowę. Oczy nasze spotkały się.

— Masz słuszność, — rzekł. — Nie wiem, nie pojmuję, co się ze mną dzieje od kilku dni. Nie mogę się oprzeć złudzeniu, że życie wstrzymało nagle swój bieg, a nawet cofnęło się wstecz o całe długie lata.

— Zegar... — szepnęłam do siebie.

— Co mówisz, droga?

— Ot, nic. Przypomniał mi się stary zegar Klimontowski. On także stanął, biedak i wskazuje niezmiennie jedną godzinę. Mam go u siebie, zabrałam go stąd, jak swoją własność i nieraz patrzę na nieruchome wskazówki. W takich chwilach i mnie się zdaje, że czas zatrzymał się w biegu. Ale potem — przychodzi moment rozwagi. Wówczas trzeba zdać sobie sprawę, że to nie życie samo, a tylko stary zegar przestał wydzwaniać dalsze godziny.

— A jednak, Krysiu, jest taki moment w dniu, codziennie jest taki moment, gdy zegar wskazuje czas właściwy. To godzina, na której się przed laty zatrzymał.

— Tak, Zbigniewie. To godzina, na której się przed laty zatrzymał.

— Tak, Zbigniewie. To godzina mojej ucieczki z Klimontowiec... Bo trudno ją nazwać odjazdem, — dodałam, uśmiechając się do dalekiego wspomnienia.

Powstał i zbliżył się ku mnie.

— I zarazem godzina, w której znów ciebie spotkałem. Daj rękę, muszę ją



W Berlinie wyświetlają nowy dźwiękowiec pod tyt.:„Młody hrabia". W filmie tym występuje sławna czeska aktorka Anny Ondra, kreując zabawną rolę wesołka.

ucałować, o tak. Widzisz, Krysiu, wszystko, czego dziś pragnę i czego chyba wolno mi pragnąć, to mieć taką godzinę od czasu do czasu, jedną taką godzinę na własność. Czy to źle? Czy komukolwiek dzieje się krzywda przez to? W takiej chwili mam prawo mówić ci wiele rzeczy. Wszystko, czego nie powtórzę przedtem, ni potem. Mam prawo powiedzieć, że cię zawsze kochałem i kochać nie przestanę...

Pochylił się, ujął w obie dłonie mą głowę.

— Mam prawo, — powtórzył, — zwłaszcza, że ta godzina nie mieści się w rzeczywistości. Wskazuje ją zegar milczący, którego nikt, prócz nas, nie słyszy...

XXXII.

...A czasem wydaje mi się, że to był tylko sen i że zbudziłam się z niego w szary „deszczowy poranek, tak niepodobny do wszystkich ranków poprzednich, jak rzeczywistość różni się od marzeń.

Księżyc wszedł w ostatnią kwadrę i jednocześnie zaczęła się nieznośna plucha. Podobno to tak bywa, po pełni. Będzie padało ze trzy dni, może z tydzień. „Całe szczeście, — orzekła burmistrzowa, — że ludziska już jęczmień sprzątnęli, bo na kartofle to tam jeszcze nie zaszkodzi."

Nie zaszkodzi? A to dobrze. Niech pada...

Głowa mię boli. W gardle czuję dziwną suchość. Czyżby znowu choroba? Et, nie. Taki sobie, zwyczajny katar.

Teraz wszystko mi się wydaje zwyczajne. Nawet katar. Zwyczajnie kłócą się baby i wymyślają sobie na rynku, zwłaszcza we wtorek, który jest dniem jarmarcznym. Zwyczajnie deszcz pluszcze w okna, zacieka przez nieszczelne szybki do pokoju i zalewa świeżo pomalowaną podłogę. Zeszłego roku pod jesień, może cokolwiek później, działo się akurat tak samo. Nawet podłoga była też świeżo pomalowana.

W szkole już kończą bielić ściany. Byłam tam, żeby trochę podpędzić majstrów. Głuchoniemy murarz, którego wszyscy „Niemkiem" zowią, zapytał mię na migi, czy i piec także przestawić. Odpowiedziałam mu gestami, że i piec także.

A dzisiaj przyszedł list od Leonki Mrozowiczówny. Przepraszam, od pani Dąbkowej, bo już ona tak się nazywa. Pisze, że zdrowa, że szczęśliwa, na pierwszego września „nieomylnie" przyjadą, ale nie wcześniej, bo „mój mąż" ledwie co wrócił z kursów i zanim się popakujemy, (a jest tych gratów wcale sporo), to i czasu trochę zejdzie."

A potem pisze jeszcze pani Leonka (Mój Boże, czy ja się kiedy przyzwyczaję!), że mnie strasznie kocha i cieszy się, że mnie zobaczy niebawem, a tymczasem prosi, żeby sprawdzić, czy Szlomka mieszkanie dla nich wyprzątnął, bo przyjechać i zastać cudze śmiecie to wcale nieprzyjemnie.

Widziałam to mieszkanko. Małe jest, ale podobno słoneczne. Podobno, bo teraz słońca ani na lekarstwo. Deszcz i deszcz...

I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno... Zaraz, wiele to dni? Zbigniew wyjechał w sobotę. Następny ranek zszedł jakoś niepostrzeżenie. Byłam na sumie, potem „na chwileczkę" wstąpiłam do panny Moniki.

(Dokończenie nastąpi).

MARJA REUTT

2)

Zemsta Cyganki

POWIEŚĆ

Chciał uwolnić się od dania jej odpowiedzi, wprost chciał zbyć ją pochlebstwem, na które tak łakomą jest każda kobieta.

Zoryna gwałtownym ruchem odwróciła się od zwierciadła i twarz zasłoniła rękoma, by nie zobaczył w jej oczach tego ogromu nienawiści, jaka wezbrała w tej chwili w jej duszy na myśl, że Iza Solecka może jej odebrać Karola.

Baron wolno kieruje się ku drzwiom i biorąc za klamkę rzuca krótkie:

— Dobranoc, Zoryno.

Rzuciła się ku drzwiom. Oplotła baronowi szyję rękoma, a rozpalone jej usta przylgnęły miłośnie do jego zimnych warg. Czar bijący od niej rozpalił w nim krew...

* * *

Nazajutrz opuścili Lwów i powrócili do zamku. Wiosna szła w całym swym blasku w wieńcach bzów i konwalij spowita w zieleń szmaragdową.

Słowiki śpiewały hymn miłości i szczęścia. Wszystko dokoła dyszało pragnieniem życia, rozkoszą istnienia.

Urok wiosny podziałał i na barona.

Zoryna odżyła. Twarz jej rozjaśniła się, usta okolił nieschodzący uśmiech szczęścia, cała istota przeniknięta była radością i weselem.

Korzystając z pięknego wieczoru pojechali konno na spacer. Rozkoszowali się pogodą, zielenią i świeżością łąk. Zoryna rozjaśnioną twarz raz po raz zwraca na barona, ale ten zamyślił się i patrzył w dal. Nagle koń dziewczyny zastrzygł uszami i rzucił się w bok, omało nie zrzucając jej z siodła.

Z gęstwiny wysunęła się cyganka Kira. Stanęła ona nieruchomo, patrząc chmurnie na barona. Ten ocknąwszy się z zamyślenia, wpadł w gniew i z podniesioną szpicrutą zbliżał się do starej cyganki. Zoryna chwyciła go za rękę, wołając błagalnie:

— Nie bij!

Karol spogląda na pobladłą twarz Zoryny, na której się maluje wzruszenie, i opuszcza rękę. Może to jej matka — przemyka mu przez myśl. — Przypuszczenie to wywołuje w nim fizyczną odrazę do swej kochanki. Brzydota Kiry i brudne jej łachmany budzą w nim obrzydzenie.

Nastrój wiosenny, radosny, jaki panował dotychczas, prysł bezpowrotnie. W Zorynie odezwała się tęsknota za ojcem, który ją kochał po swojemu i dumny był z niej. Odezwała się w niej natura cyganki, pragnienie życia koczowniczego, z dnia na dzień, pełnego przygód, tajemniczego... Żałowała, że porzuciła tych, wśród których spędziła dzieciństwo.

Ale żal nie trwał długo, gdyż nie umiała sobie wyobrazić życia bez Karola, a ostatnie dni przyniosły jej nadzieję, iż baron pozostanie jej wiernym. Zdawało się, że urok jej działa na niego ciągle, że w walce z hrabianką wyjdzie zwycięsko.

Jednakże złudna nadzieja prysła, jak bańka mydlana tegoż samego wieczoru.

Gdy powrócili do pałacu, lokajczyk na tacy podał baronowi telegram. Karol rozdarł go nerwowym ruchem, przebiegł szybko oczyma, spochmurniał. W milczeniu podał depeszę Zorynie. Pociemniało jej w oczach, gdy przeczytała treść telegramu. Na białym skrawku papieru widniały bezlitosne słowa, które jak sztylety raniły jej serce.

„Przyjeżdżamy z Izą jutro wieczorem. Soleccy."

Papier wylatuje z rąk dziewczynie. Spogląda pochmurnie na barona. Z ust jej dobywa się zduszony okrzyk:

— Ona tu nie przyjedzie!

Baron marszczy brwi, wyniośle spogląda na cygankę, porusza ramionami:

— Ona jest przyszłą panią tego zamku!

Zoryny twarz bieleje, oczy błyszczą rozpaczą.

— A ja?... a ja?...

Karol podchodzi do niej, obejmuje ją i mówi do niej pieszczotliwie:

— A ty jesteś moją ukochaną!

Nie pocieszyło to jednak dziewczyny, wyczuła w zachowaniu się Karola, że wiadomość ta sprawiła mu przyjemność. Po raz pierwszy uprzytomniła sobie, że była dla niego tylko zabawką, że osoba jej nie znaczyła w jego życiu nic, że była tylko przelotną igraszką, gdy tymczasem tamta panuje nad jego życiem, nad jego sercem.

Zazdrość przenikała ją do głębi, szarpała jej duszę, odbierała jej panowanie nad sobą. Snuła plany zemsty, przemyśliwała nad nią w noc bezsenną, poprzedzającą przyjazd hrabiny z córką.

* * *

Baron przez cały dzień nie zajmował się zupełnie Zoryną. Wieczorem żegnając ją, pogłaskał ją tylko po ręku i powiedział:

— Nie pozostaną tu długo i znowu będziemy sami. Ale podczas ich pobytu nie wolno ci się pokazywać w zamku lub ogrodzie.

Lecz słowa pociechy nie trafiły do serca Zoryny, która siedziała długo w nocy na łóżku bijąc się z myślami i nie mogąc zagłuszyć straszliwego bólu, który owładnął całą jej istotą.

Projektowała coraz to nowe plany zemsty. Chciała się pojawić wśród nich i rzucić Izie w twarz całą prawdę — jej Karola miłość i wspólne pożycie. To znów chciała czatować ze sztyletem w ręku i wbić go w serce tej bladej dziewczyny. Ale obydwa te projekty odrzuciła, gdyż odebrałyby one jej Karola. Postanowiła przeczekać cierpliwie wizytę Izy i dopiero po jej odjeździe stanąć do walki z rywalką na śmierć i życie. Przecież i ona jako królewska córka godna jest zostać żoną Karola.

Nazajutrz chciała wyjść z pokoju, by przejść się nieco po parku, przekonała się, że drzwi jej pokoju są zamknięte na klucz. Ogarnęła ją wściekłość. Zamykają ją jak w więzieniu! Więc Karolowi tak bardzo zależało na tej Soleckiej i tak bardzo się bał, by przypadkiem nie spotkały się i Iza nie dowiedziała się, że jest jego kochanką. A jeśli naprawdę kochał hrabiankę, to dlaczego przysięgał, że pozostanie jej wiernym?

Jak przez sen słyszała kroki pokojówki, wchodzącej do jej pokoju, słyszała, jak zamykała za sobą drzwi na klucz. Zoryna nie tknęła przyniesionego śniadania. Nie odpowiadała na zadawane pytania. Pokojówka posprzątała i wyszła obrażona. Dla niej Zoryna była tylko „Cyganichą" — gniewało ją dumne traktowanie ze strony Zoryny.

Co ona sobie myśli, ta dziewczyna cygańska?

Nagle przez otwarte okno dobiegł Zorynę dźwięczny głos Izy i niski czysty bas Karola. Porwała się z miejsca jakby ją kto dotknął rozpalonem żelazem. Dopadła okna, wyjrzała przez nie, zachwiała się. W dole na polance stała jasno ubrana hrabianka, wiotka, zgrabna. Twarz podniosła do góry i patrzyła w oczy barona z figlarną minką, coś mu opowiadając. Karol podnosi jej rękę do ust i przyciska ją długo do warg.

Odskoczyła od okna, pięści jej zacisnęły się.

Drzwi się otwierają, wchodzi lokaj niosący na tacy obiad. Stawia talerze na stole i spogląda na cygankę z ironicznym, bezczelnym uśmiechem i chrząka.

Zoryna nie odwracając głowy rzuca krótko.

— Czego?

Lokaj z miną służbową mówi:

— Pan baron kazał powiedzieć, że przyjdzie dzisiaj po odjeździe gości.

Rzuciła krótkie, ostre:

„Dobrze".

Lokaj wychodzi, zamykając drzwi na klucz, na twarzy jego błąka się znów ten sam bezczelny uśmiech. Pozostawszy sama Zoryna podbiega do stołu, zaczyna rzucać na ziemię talerze i szklanki, znajdujące się na tacy.

Wieczorem, gdy baron przybył do jej pokoju, krzyczała doń:

— Nie oddam cię jej!... Po moim trupie pójdziesz z nią do ołtarza!

Wyglądała tak dziko, iż baron przeraził się. Objął ją wpół i począł ją pocałunkami uspakająć.

Chcąc uniknąć dalszych scen zazdrości — kłamał. Mówił, że Izy nie kocha, ale zerwać z nią narazie nie może, gdyż musiałby hrabiemu Soleckiemu zwrócić ogromne sumy pieniężne, pożyczone przez jego ojca, ale z czasem... Narazie zresztą niema mowy o tem, by się z Izą ożenił.

A jednak kłamstwem było wszystko, co mówił. Hrabia Solecki nie pożyczał jego ojcu pieniędzy, baron kochał szczerze Izę i miał zamiar poślubić ją.

W nocy długo rozmyślał nad wytworzoną sytuacją. Wymagała ona jak najszybszego wyjaśnienia, nim jeszcze Iza dowie się o wszystkiem.

Zdecydował się wreszcie. Rankiem odszedł telegram do hrabiego Czachowicza, wzywający go do przyjazdu w ważnej sprawie.

Na drugi dzień, przyjaciel wielce zaintrygowany nagłem wezwaniem przybył na zamek.

ROZDZIAŁ III.

Straszny targ

W zacisznym gabinecie, zasnutym wonnym dymem cygar, przy kieliszku Martela, dwaj mężczyźni omawiają spokojnie, na zimno handel, którego przedmiotem, ma być kobieta. Jeden odstępuje drugiemu kochankę, która mu się znudziła. W małym gabinecie ważą się losy biednej Zoryny.

A ona tymczasem nie przeczuwa nawet, jaka straszna przyszłość ją czeka. Kłamliwe słowa Karola uspokoiły ją. Przegląda się radośnie w lustrze, śmiejąc się do swej uroczej postaci, odbitej w zwierciadle.

Tymczasem na dole dobijano potwornego targu. Baron uderza przyjaźnie hrabiego po ramieniu i pyta się:

— A więc zgoda?

Hrabia uśmiecha się z zadowoleniem, kiwa głową. Nagle w myśli jego budzą się jakieś wątpliwości.

— A jeśli nie zechce?

Baron uśmiecha się porozumiewająco.

— Wierzę w twoje zdolności podbijania kobiet. Zresztą jedwabne gałganki, to najlepszy środek na otarcie łez niewieścich.

Gdy kończył te słowa, otwarły się drzwi i do pokoju weszła Zoryna. Krokiem lekkim podeszła do siedzących i osunęła się na dywan u stóp Karola. Obaj mężczyźni podnieśli się jednocześnie z foteli, prosząc, by usiadła. Uśmiecha się do nich wdzięcznie, jednakże odmawia. Bierze rękę barona i przytula ją czule do swej twarzy. Mężczyźni siadają na swych miejscach. Zoryna oparła głowę o kolana barona i patrzy się kokieteryjnie na hrabiego. Hrabia nachyla się poufale nad nią i dotyka ręką sznura pereł, który zdobi jej szyję.

— Śliczne perły!

Ruchem dumnym odsuwa jego rękę od szyi i przebierając pieszczotliwie perły palcami, mówi z dumą:

— Perły królewskie, spuścizna po mojej matce.

Hrabia dotyka ręką jej włosów i pyta:

— A te?

Dziewczyna uchyla głowę i odpowiada:

— I te też.

Wyjmuje z za gorsu duży medaljonik złoty, zwieszający się na łańcuszku.

— Od barona mam tylko ten klejnot.

Otwiera medaljon i pokazuje dwie znajdujące się wewnątrz fotografje: barona i swoją.

W momencie tym lokaj otwiera drzwi i melduje, że obiad już podany. Wszyscy troje przechodzą do jadalni. Zoryna zajmuje pierwsze miejsce, po prawej stronie siada hrabia, po lewej baron. Hrabia flirtuje z Zoryną, czuwając, by kieliszki jej były stale napełnione. Baron milczy uporczywie. Zoryna jakby chciała pobudzić jego zazdrość, nadzwyczaj serdecznie odnosi się do hrabiego. Lokaj przynosi butelki szampana, które baron sam otwiera. Korki strzelają w górę, pieni się wino, na twarzach występują rumieńce, oczy płoną niezdrowym blaskiem. Hrabia przytula się do cyganki, Zoryna nie odsuwa się od niego, on ujmuje jej rękę, całuje ją długo. Podnosi do ust jej kieliszek i mówi:

— Chcę znać myśli pani.

Przechyla głowę kokieteryjnie i mruży oczy:

— Niebezpieczne...

Czarną kawę piją w gabinecie. Baron milczy, goni oczami kłęby dymu, unoszące się z jego cygara. Zoryna i hrabia siedzą razem na kanapie. Zorynie alkohol uderzył do głowy, wcisnęła się w poduszki. Jest rozmarzona, czuje się dobrze. Hrabia przytula się do niej i próbuje objąć ją wpół. Ona broni się, ale hrabia obezwładnia ją, przyciska do siebie i całuje namiętnie gorące jej usta. Dziewczyna usiłuje uwolnić się z jego objęć, zwraca się do barona i woła:

— Karolu! Karolu!!

Ale Karol ani drgnie. Udaje, że nie widzi co się dzieje i najspokojniej strząsa popiół ze swego cygara. Hrabia obezwładnia Zorynę, znowu zasypuje ją pocałunkami, szepcąc:

— Nie wołaj Karola... bo on mi cię odstąpił, do mnie teraz należysz!

Zoryna zrywa się z miejsca, jakby dotknięta rozpalonem żelazem. Wyrywa mu się z rąk i z całej siły uderza go w twarz, ale hrabiego ten policzek nie zraża, podnieca go raczej. Porywa dziewczynę na ręce i niesie ją w głąb mieszkania.

A ten, który przysięgał jej w lesie miłość i wierność dozgonną, zimny, nieporuszony, pozostaje w gabinecie, ciesząc się, że nareszcie odzyskał upragnioną wolność

* *

Zoryna z włosami w nieładzie, w poszarpanej sukni, z gorejącą twarzą, sercem przepełnionem nienawiścią, wbiega do swego pokoju na wieżę. Otwiera szafę i poczyna w niej wyszukiwać swe dawne cygańskie stroje. Robi z nich małe zawiniątko.

Wzrok jej pada na fotografję, stojącą na biurku. Przedstawia ona ją w towarzystwie Karola i Czachowicza. Oczy jej zabłysły nienawiścią. Zacina wargi do krwi i szepce:

— Zapłacicie mi obydwaj! Zapłacicie krwawo!!

Zarzuca na siebie długą, czarną pelerynę, pod którą chowa swe zawiniątko. Głowę nakrywa kapturem. Rozgląda się po pokoju, wzrok pada jej na lampę naftową. Lampa rozpryskuje się. Ogień pełza po dywanie.

Wybiega. Na schodach pali się duża stojąca lampa. Zoryna przebiegając zrzuca ją na ziemię. Drugie gniazdo ognia wybucha z całą gwałtownością.

Niby furja biegnie poprzez długie zamkowe korytarze, a przejście przez każdy znaczy pożogą. W sieni pałacowej, ozdobionej trofeami myśliwskiemi, dwa wypchane niedźwiedzie trzymają w sztywnych łapach wielkie lampy, w kształcie pochodni. Dopada do nich, błyskawicznym ruchem wyrywa lampę z kosmatych łap i rzuca ją na wilczą skórę, leżącą przy kominku. Ogień wybucha, lecą iskry.

Podbiega do ciężkich drzwi wchodowych, odmyka je z trudnością, wybiega na dwór. Noc ciemna, pochmurna. Nie widzi niczego przed sobą. Zbiega ze schodów, otwiera nerwowo furtkę w murze. Jest

już za bramą, biegnie co sił ścieżką w stronę pól i lasu, gdzie koczują jej bracia. Pędzona zemstą, rozpaczą, pragnieniem zniszczenia, jest jakby ucieleśnieniem strasznego demona zemsty.

Gdy minęła pola i znalazła się na skraju lasu, przystanęła ,dysząc ciężko i obejrzała się poza siebie. Na niebie gorzała łuna, z zamku buchały snopy ognia, a wiatr roznosił na wszystkie strony bukiety iskier. Zaśmiała się głośno, a echo poniosło z wiatrem daleko ten szatański, niesamowity śmiech.

Oczy jej czarne, wielkie, jarzyły się jak u wilka. Na tle ciemnego boru w złowrogim blasku łuny, wznieconego przez nią pożaru, w swym czarnym płaszczu i nasuniętym głęboko na oczy kapturze, wyglądała niby jakieś ponure, niesamowite zjawisko z zaświatów.

Cieszy się widokiem grozy zniszczenia, serce jej napełnia się radością na widok dzieła zemsty. Lecz tego jeszcze za mało! Za to wszystko co podły ten człowiek uczynił, zemsta ta jest zbyt słabą!

Nasyciwszy się strasznym obrazem, spieszy do swoich, kierowana instynktem, który każe jej w chwilach grozy i nieszczęścia szukać pomocy i schronienia u najbliższych.

Teraz dopiero poczuła jak drogimi jej są ci wieczni tułacze, bez ziemi i kraju. Za wszelką cenę chciała się znaleźć w kręgu ich ogniska, które wydało jej się naraz jakimś rajem przytulnym, w którym może spocząć spokojnie po tych wszystkich strasznych przejściach. Wie, że kiedy znajdzie się między nimi, ucichnie jej wzburzona krew, odpoczną rozszalałe nerwy, burza, która miota całą jej istotą uspokoi się. Biegnie na oślep, kierując się w stronę polany, gdzie ostatnio obozowali cyganie. Poprzednie spotkanie z Kirą utwierdziło ją w przekonaniu, że cyganie znowu rozłożyli się tutaj obozem.

Już słońce wzeszło na niebo i ozłociło las swym blaskiem, gdy stanęła na skraju polany i zmęczonym wzrokiem objęła obóz, który obudził się już. Życie codzienne wrzało w nim. Na pierwszy rzut oka zdawało się Zorynie, że w obozie nic się nie zmieniło. Ognisko obstawione garnkami, przy których krząta się, jak zwykle, Kira, brzydka i odrażająca. Pomagają jej dwie młode dziewczyny. Cyganie pracują, naprawiając wozy, kując konie. Oczy Zoryny obiegły całą polanę w poszukiwaniu ojca. Odnalazła go leżącego na dywanie z nieodstępną fajką w zębach. Rozmawiał z dwoma starszymi cyganami.

Takie jej tu wydało się wszystko bliskie i kochane, że w tej radości, iż nareszcie dotarła do swoich, nie zauważyła Miry, leżącej obok króla na dywanie, strojnej w klejnoty i barwne szaty. Bawiła ona małe dziecko.

Mira jest obecnie żoną króla cyganów. Dumną jest i pewną siebie, bo wydała na świat syna królewskiego, który jest dumą i nadzieją starego króla. Poza tem dzieckiem nie istnieje nikt dla starego władcy. Wyrodną córkę usunął zupełnie ze swego serca. Czuje do niej wstręt, pali go wstyd, że porzuciła go, uciekła od swoich. To małe, czarne cyganiątko stanowi dla niego jedyny cel istnienia. To urzeczywistnienie jego marzeń, jego chluba. Oto wyrasta nowy król, następca cygańskiego tronu.

Ale Zoryna nie przeczuwa tego wszystkiego, pamięta miłość ojcowską, jak się nią pysznił przed swymi poddanymi z dalszych i bliższych stron, jakie dumne roił plany o jej przyszłości. Wszak to on chciał zwołać do Hiszpanji na wiec wszystkich wodzów cygańskich z całego szerokiego świata, z Egiptu, Grecji, Turcji, Rosji, Węgier i Polski, by wybrać swego następcę i oddać mu swą córkę i swą władzę.

Ucieczka Zoryny zniweczyła jego plany. Wchodzi na polanę, zatrzymuje się przed ojcem i zwolna uchyla kaptura. Kira drgnęła i opuściła łyżkę na ziemię.

Cygan patrzył przez chwilę na Zorynę nie poznając jej, lecz gdy w przybyłej rozpoznał swą wyklętą córkę, zerwał się z dywanu, ze strasznym wyrazem twarzy i wskazując na ciemny las, krzyknął zduszonym, chrapliwym głosem:

— Precz!

Mira zerwała się również z miejsca i przysunęła się do starego króla, tuląc dziecko do siebie.

Obóz cały ożywił się. Cyganie porzucili pracę, cyganki przerwały swe poranne zajęcia, wszyscy skupili się koło króla i Zoryny, ciekawi, żądni sensacji. Tylko stara Kira w rozpaczy załamała ręce.

Na krzyk ojca zachwiała się. Nie spodziewała się tego ciosu.

Próbuje go przebłagać, wyciąga do niego ręce:

— Ojcze pozwól mi tu zostać!!

Mira przeraziła się. Zlękła się o swą władzę nad starym królem o swe stanowisko w obozie. Ale obawy jej były płonne, gdyż starego cygana nie wzruszają błagania córki.

Tupie nogami, wskazując na las krzyczy:

— Precz! Idź skąd przyszłaś!

Otoczenie przygląda się tej scenie z ciekawością. Stoi nieruchoma, osłupiała, tępym wzrokiem patrzy się na ojca, na tryumfującą Mirę, na obojętne, bezmyślne twarze, otaczających ją cyganów. Jest tak przybita tym nowym ciosem, że nie może zebrać myśli.

Przez tłum przedziera się stara Kira, niesie tobołek. Twarz jej jest wzburzona, oczy błyszczą złowrogo, usta drżą. Chwyta Zorynę za rękę i stara się wyprowadzić z tłumu cyganów.

— Chodźmy Zuzulo, własnem mlekiem cię wykarmiłam, to nie opuszczę cię teraz.

— — — — — — —

I poszły razem w ciemny las.

Przeszły góry, doliny, rzeki, aż znalazły się w małej wiosce huculskiej, w okolicach Stanisławowa. Zamieszkały w opuszczonej chatce pod lasem, w której przed laty powiesił się stary drwal z rozpaczy po dokonanem morderstwie w kłótni, w czasie której zabił swego brata. W chacie tej od tego czasu nikt już nie mieszkał. Po okolicy chodziły słuchy, że straszy tam po nocach, więc bano się chatkę rozebrać lub spalić, by się nie narazić na zemstę duchów. Domek zapadał się w ziemię, ogródek otaczający go zarastał zielskiem, a ludzie omijali stale to miejsce.

Kira nie bała się duchów, daleko więcej obawiała się natomiast ludzi. Tu jednak w tym zakątku bezpieczną była. Chronił ją zabobon ludzki. Przyprowadziła nieco chatę do porządku, rozgościła się z Zoryną, która pozwalała się kierować starej cygance, pozostając bierną i nie mieszając się do niczego. Kira zabrała się do pracy z energją. Odwiedziła wszystkie chaty we wsi, ale gospodynie z małemi wyjątkami przyjęły ją wrogo.

Nie zraziła się tem jednak, uzbierała trochę jajek, chleba i kartofli.

Po paru dniach przybłąkał się do nich czarny kot, którym zaopiekowały się serdecznie. Niebawem koło chaty ich znalazło się i małe prosię i kilka kur.

Wkrótce też i dziewczęta wiejskie znalazły drogę do chaty. Szły do niej ukradkiem, oglądając się poza siebie, niosąc pod chustką jajka, masło, lub miedziaki — za wróżby.

Zoryna poczuła się matką. Wywołało to u niej mściwą radość. Czy będziesz chłopcem, czy dziewczyną, pomścisz mą krzywdę — szeptała do siebie, gdy samotna siedziała przed chatą z kotem u nóg, a oczy jej czarne, przepastne z bólem bezsilności zastygłe stawały się jeszcze głębsze i jeszcze tragiczniejsze. A przechodzący lękali się więcej jej białej jak śnieg twarzy, niż ruchliwej wiedźmy, jak nazywali Kirę. „Niesamowitą“ nazywali Zorynę. A w cygance obudziło się poczucie krzywdy i pragnienie zemsty. W dziecku widziała mściciela i na takiego postanowiła go wychować. Oczekiwała więc tego dziecka z upragnieniem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
swoim Sympatykom życzy
Zofja i Wujek Janusz.

ODPOWIEDŹ

P. J. Jarosińskiej z Lublina — autor nawiązując do rozmowy na helskiej plaży.

Pytasz, czy życie jest istotnie ciężkie i szare,
jak chmur cienie,
i mija szybko, bezpowrotnie, jako chwileczka,
oka mgnienie?
Czy prawdą to jest, że bez końca będziemy,
tutaj żyć w nizinie,
że ciągle będzie brak nam słońca, że mroczno,
zimno życie minie?
Pytasz, czy niema wiosny, kwiatów, blasków,
i woni, łuku tęczy,
świetlistych marzeń hen z zaświatów i złotolitej
cud — obręczy?...
Pytasz mię wiele i gorąco ufna w młodzieńczej
swojej wierze,
o Miłość wszechwładnie panującą, mającą w
sercach ludzkich leże...
Dziewczę kochane! Bądź ostrożną, bo życie
pełne jest przykrości
i stawić może z miną groźną przeszkody pełne
kolcy, ości!...
Bo losy zmienne i niestałe, rozpadlin pełne,
błot i piasku
niweczą często życia całe już jaśniejące w
szczęścia blasku!...
Jest jednak w życiu: słońce, kwiaty, jest tęcza,
jasność, ciepło, wiosna,
jest marzeń cudnych wzór bogaty, tkany na ludzkich
sercach - krosnach.
Jest wyż błękitny pełen czaru i złotym rajem
jaśniejący...
Jest w życiu puhar, w nim nektaru płyn błyska
czysty, wonniejący...
Jest także, Dziewczę, miłość czysta, piękna, jak
bajka, jak świat cały!
jak wielkie święto — uroczysta, ogromna — że
świat przy Niej mały!...

Marych Bińkowski.

NIE NADSZEDŁ UPRAGNIONY LIST

„Wandzia z B." „I tak się tacza i tak się wlecze, ta szara życia nić, a chociaż pusto, smutno i nudno — to jednak warto żyć!"

Ten króciutki wierszyk wplotła do swego listu „Wanda z B." I to nie bez powodu. „Wandzia" apelowała kiedyś w „Krainie" o nawiązanie z Nią korespondencji, niestety, bez skutku. Nie otrzymała upragnionego listu. Przykro Jej bardzo z tego powodu, ale pociesza się, że kiedyś napisze do Niej ktoś i rozproszy smutek. „Wandzia" między innem pisze:

„Zasyłam miłe pozdrowienia „Ord - Omowi". Podziwiam Jego śliczne a smutne wiersze, bo treścią tak są nieraz podobne do mego życia. Tak samo wierszyki Jadźki z Kujaw. Chciałabym bardzo również umieć pisać poezje".

CZY NAPISZE KTOŚ?

„Dzika Cyganka" pragnie znaleźć zadowolenie i rozrywkę w szczerej korespondencji. Czy napisze ktoś do Niej, odczytawszy niżej zamieszczony list?

„Z zawodu jestem aptekarką. Kocham bardzo moją pracę, jestem z niej zadowolona i nigdy nie tracę humoru. Czuję się wesołą, jak ptak w locie. Jest mi dobrze, jak nikomu na świecie.

Pragnę skimś szczerze korespondować i w tym celu zapytuję „Czarnego Li", „Antocha", „Miecia 09" — „Optymistę Sir" i „Marzyciela z pod Gniezna" czy nie zechcieliby nawiązać ze mną wymianę myśli. O ile tak, proszę napisać, odpowiedź pewna i szybka."

PROSZĘ O CZĘSTSZĄ PAMIĘĆ

„Smutny Edek". List Pana, chociaż krótki, sprawił mi dużo zadowolenia. Niżej przedrukowuję wyjątek z niego i proszę równocześnie Pana o częstszą pamięć.

„Mam lat 30, włosy blond i figlarne oczy. Stanowisko, które zajmuję przynosi mi niezłe dochody, mam więc możność korzystania z wszelkich rozrywek. To jednak nie daje mi pełnego zadowolenia. Miasto, które zamieszkuję jest duże, brak mi jednak tutaj zupełnie towarzystwa. Dlatego proszę Sympatyczne panie o listy"...

CZY PRZEŚLE?

„Fleur". Dziękuję Panu za obszerny list. Tym razem zrozumiałam Pana dobrze. Ponieważ pisze Pan między innem, że lubi „Krainę Szczerości" za jej wierszyki, na list odpowiadam Panu wierszem Władysława Orkana:

Kiedy się życiu oddałeś w lenno,
Umiej — że znieść niewolę — —
Gdy cię, jak jodłę niebopienną
Gnie wicher, hardość miej w swem czole!

Miej moc odgięcia i sproszczenia
Po każdej burzy, którać znęka — —
Zdrowy bądź wiecznie ode rdzenia,
Choć kora w bruzdy chore spęka.

Postrach rzuć z chmur na ludzi — drwali,
Błękity zadziw swym wyrostem — —
A gdy cię śmierć siekierą zwali,
Bądź ku wieczności mostem!...

Jak wnioskuję z słów, zainteresował się Pan „Zbąszynianką" — przesyła Jej Pan nawet jak najserdeczniejsze pozdrowienia. Czy „Zbąszynianka" prześle „Fleurowi" jakiś odzew?

CHCIAŁABYM...

„Samotna Indjanka". „Życie moje to długi łańcuch, którego ogniwami są troski i zawody, rozpacz, ból i łzy. Czasem tylko w życie momoje, jak cieplarniany kwiat w wiązance dzikich, polnych kwiatów wplecie się jasna chwila, ale jak promień jesiennego słońca zabłyśnie i wkrótce zgaśnie. Z tem trzeba się pogodzić, trzeba się do tego przyzwyczaić, a jednak trudno mi. Wprawdzie powinnam panować nad swemi nerwami i gdziekolwiek szukać ratunku przed większym przypływem depresji duchowej. Lecz gdzie szukać tego ratunku i w czem?"

Szczerze chciałabym przynieść Pani trochę otuchy i siły do dalszego życia, jednak nie wiem, czy mi się to uda. Przedewszystkiem musi być Pani dzielną i nie poddawać się słabości. W pracy i gorącej modlitwie szukać ukojenia i wystrzegać się tkliwych rozmyślań nad swojem nieszczęściem, gdyż to jeszcze więcej przybija i pogrąża.

List, w którym zamknęła Pani swoją przeszłość, otrzymałam. O potępieniu i krytykowaniu, jeżeli chodzi o słowa Pani, nie może być mowy. Za szczere słowa, pełne zwierzeń i zaufania, można odpłacić się jedynie przyjacielską radą lub serdecznym uściskiem dłoni. Tak też czynię!

JEDEN Z WIERSZYKÓW ZOSTANIE WYDRUKOWANY

„Lilla Weneda." Najpierw oddaję głos Pani:

„Tu Lilla Weneda"! Ślę pozdrowienia i serdeczny uścisk dłoni „Księżniczce Dari". „Nieszczęśliwa" pragnie mnie poznać? Proszę, niech do mnie napisze pierwsza. Pozdrawiam również „Leśną Rusałkę" — „Białą Uajali" — „Jadźkę z Kujaw" i „Wenus". Pani M. Mszczyckiej składam uznanie za wiersze, nie pomijając uścisku dłoni. Tak bardzo lubię Jej wiersze, w których przebija naprawdę wzniosła dusza."

A teraz przystępuję do omówienia sprawy wierszyków, ostatnio nadesłanych przez Panią. Otóż w dzisiejszym numerze daję jeden. — drugi za słaby do druku.

Zamieszczam serdeczny uścisk dłoni i czekam znowu na kilka słów od Pani.

MARZENIE

„Sarenka czarnooka" to ogromnie miła dziewczynka o czarnych jak noc oczach. Mieszka zdala od wioski, na kraju lasu. Kocha bardzo przyrodę. Ponieważ odczuwa wielki brak towarzystwa, chciałaby nawiązać skimś korespondencję, zwłaszcza obecnie w czasie długich, zimowych wieczorów. Marzy o korespondencji z jakimś miłym panem ze wsi, nie wie tylko, czy marzenie to się spełni.

ŻYCZENIA

„Wiślana Fala". Droga Pani! Proszę mi wybaczyć zbyt długą zwłokę w daniu odpowiedzi na jej listy. Nie moja w tem wina, lecz listów napływających bez liku do redakcji. Na każdy taki list muszę dać odpowiedź, zrozumie więc Pani moje długie milczenie, prawda?

Przesłany list — wyprawiłam w dalszą drogę. Ciekawa jestem, czy otrzymała już Pani na niego odpowiedź i czy Pani z niej zadowolona. Proszę bardzo coś mi o tem napisać.

Na radosne Święta przesyłam Pani życzenia jak najmilszej zabawy i jak najlepszego samopoczucia.

CHOCIAŻ TO JUŻ PO ŚWIĘTACH

„Nowa Gwiazdeczka". Chociaż to już po świętach i gwiazdki stały się mniej aktualne, do naszej „Krainy" zawitała jednak „Nowa Gwiazdeczka", jak widzę z listu śliczna i promienna. Pragnie nawiązać z naszą „Rodzinką" stały kontakt.

„Nadewszystko lubię las i długie, samotne spacery — zwierza mi się — ucieszę się, jeżeli ktoś napisze do mnie parę słów. Serdeczne pozdrowienia przesyłam p. Michałowi Choszczowi. Chyba nie zapomniał jeszcze swej kuzynki Z. Z.?"

PRZYJACIEL

Tadkowi Ledeckiemu z Poznania — poświęcam.

Tyś jeden mi pozostał — Drogi Przyjacielu,
Choć tylu ich miałam, w życia poniewierce,
I wierność dozgonną, przysięgało wielu...
Pod stopy słać chcieli, różane kobierce.

A kiedy szczęścia słońce zajaśniało,
Nad moją głową, złotą aureolą —
Miałam przyjaciół wielu, tłumy, całe...
Śmiejących się zemną, nad szczęsną dolą.

Lecz jednak nie zawsze, słońce jasno świeci,
Bo ciemna chmura czasem je zasłoni —
I wielkie szczęście, przepadnie — uleci...
I gorzkie się po nim, łzy roni.

Gdy przyszły dni smutku i boleść pospołu,
Wszyscy odeszli. — tyś został jedynie...
Jasnem spojrzeniem, chmury spędzał z czoła,
Współczując, mawiałeś, że boleść przeminie.
— — — — — — — — —
A kiedy przyjdzie chwila rozstania,
I się rozejdą nasze życia drogi,
Pamięć o tobie, zawsze pozostanie —
Boś tylko jeden został, Przyjacielu Drogi.

„Lilla Weneda."

CZY ZACIEKAWI?

„Tajemnica". Sądzę, że tutaj zbyteczny jest specjalny apel o listy. Pseudonim mówi bardzo dużo i nie mniej zaciekawia, tak, że wielu będzie chciało zapewnie poznać wielce absorbującą „Tajemnicę".

TAJEMNICZOŚĆ

„Wielkie coś — i wielkie nic". Pseudonim dużo mówiący i równocześnie mało — oczywiście! Ale Sympatyczka ukrywająca się pod nim, jest bardzo tajemniczą osóbką. Prócz tego, że chciałaby nawiązać skimś wymianę myśli, nie pisze mi nic więcej o sobie. Sądzę jednak, że incognito Jej długo nie będzie stanowiło zagadki dla tych, którzy zechcą do Niej napisać.

ZA ŻYCZLIWOŚĆ I SERDECZNOŚĆ DZIĘKUJĘ

„Młody Żołnierzyk“. Słowa listu Pana, podyktowane serdecznością i życzliwością, wzruszyły mnie bardzo. Dziękuję gorąco, za dobre chęci, jednania nam nowych prenumeratorów, a także za moc pozdrowień, które w pełni odwzajemniam.

POZDROWIENIA

„Dzieniuś z Torunia“. Prośbom Pana czynię zadość i przesyłam w imieniu Pana pozdrowienia „Sarence“. Za pozdrowienia przeznaczone dla mnie bardzo dziękuję. Od siebie ślę ich również moc.

BARDZO CHĘTNIE

„Kameleon“. Droga Pani! Proszę mi wierzyć, że ostatni list sprawił mi dużo radości. Zwłaszcza ucieszyła mnie wiadomość, że „Moja Przyjaciółka“, jako dar imieninowy dla Kuzynki, została przyjęta jak najmilej.

Bardzo chętnie odpowiadam na postawione mi w liście pytanie: a więc jestem od Pani młodszą. Myślę jednak, że mała różnica lat nie zmieni naszego stosunku do siebie?

Łączę dużo pozdrowień i życzę Pani pomyślności w nawiązanej, ciekawej korespondencji.

DO CIEBIE

„Wesołemu Kamrödowi“ — poświęcam.

Tak lubię siedzieć w szarej godzinie —
Jedynie z szczęścia mojego snem
I myślą wzlatać do Ciebie jedynie,
Boś odniedawna marzeniem mem.

„Smutna Konwalja“.

PROSZĘ O ADRES!

„Etjopka“. W redakcji jest list dla Pani. Proszę bardzo o jak najwcześniejsze nadesłanie adresu.

A GDY CI BĘDZIE BARDZO PRZYKRO...

„Blanka“. Nie, Droga Dzieweczko, to nie przekleństwo ciąży nad Tobą, ani żadne fatum. Ciemne chmury wiszą od czasu do czasu nad głową każdego człowieka i gaszą jego radość. Są one jednak krótkorwałe. Przychodzą i giną. Nie narzekaj więc „Blanko“ i nie martw się! Bądź dzielną kobietą! A gdy Ci będzie bardzo bardzo przykro — pisz do mnie o wszystkiem, co Cię boli, dobrze?

Przypuszczenia Twoje, co do „Dzinki“ są mylne, natomiast trafne, jeżeli chodzi o mnie. Dziękuję Ci również „Blanko“, za zwrócenie mi uwagi na wierszyk zamieszczony w nr. 21 — 22 „Moich Powieści“. Jest mi bardzo przykro, że pomimo tylekrotnych napomnień i przestróg z mej strony i Wujka Janusza, znowu znalazł się ktoś, który nadużył mego zaufania i czyjś dorobek literacki podpisał swojem imieniem. Sądzę, że autor naśladownictwa zrozumie swój błąd i raz na zawsze zaniecha ubierania się w cudze piórka...

Długi, bardzo długi różaniec pozdrowień tym razem zamieszczam jeszcze, ale proszę na przyszłość o ograniczenie się w miarę możności: „Pozdrawiam w pierwszym rzędzie dziękując za pamięć „Bruneta“ oraz „Maleńką Tajemnicę“, dalej pozdrawiam: „Maleńką Dzidzi“ — „Fakira“ — „Brzydką Kaszubkę“ — „Optymiste Sir“ — „Stellę Maris“ — „Błękitnego Rycerza“ — Gejszę“ — „Idealne Serce“ — „Verte“ — „Te - Em“ — „Córkę Wichru“ — „Horda“ — „Duszyczkę“ — „Pokutnika“, którego pseudonim szczególnie mi się podoba. Może zdradzisz „Pokutniku“ jakiego rodzaju pokutę Tobie nadano? Pozatem „Blanka“, choć sama smutna zasyła miły uśmiech i serdeczny uścisk dłoni dla: „Samotnej Gwiazdeczki“ — „Sierotki“ — „Żeni — niewolnicy smutku“ — „Opuszczonej Owieczki“ — „Cyganki z gondoli złudy“ — „Smutnej Mirjam“ — „Smutnej Kazienki“ — „Smutnej Perełki“ oraz dużo dużo radości i słońca dla „Szarej Dziewczynki“ i „Małej Mery“.

ŻYCZENIE SPEŁNIAM Z CHĘCIĄ

„Lu“. Nie gniewam się na Panią, skądże! Wystarczy, że Pani znowu napisała i w dodatku tak serdecznie.

Życzenia Jej spełniam z miłą chęcią i przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia „Irce Dr.“ — „Hanusi z pod Chodzieży“ — „Strażnikowi z pod Chodzieży“ — z stron przez Panią bardzo ukochanych.

Samouczek języka „Esperanto“ jest najlepszy prof. Sygnarskiego. Do nabycia u autora — Bydgoszcz, ul. Kordeckiego 24. II. ptr., albo w księgarni Gieryna, Bydgoszcz, Plac Teatralny.

NAPISZCIE MIŁE I INTERESUJĄCE LISTY

„Smutna Kazienka“. Nadesłana fotografja bardzo miła. Dziękuję Pani za nią serdecznie.

Treść listu wzruszyła mnie ogromnie. Straciła Pani szczęście — oby Dobry Bóg Panią pocieszył.

Pełna współczucia pragnę w smutne życie Pani wnieść trochę radości i urozmaicenia, apeluję więc do wszystkich Pań i Panów, aby przesłali „Smutnej Kazience“ miłe, interesujące listy. Listy, które potrafiłyby zaabsorbować i ożywić zastygłą duszę.

„Pokutnikowi“ — „Rotmistrzowi“ — „Hrabiemu Monte Christo“ — „Ursusowi“ — „Poznańczykowi wśród lasów“ — „Smutnej Broni“ — „Dzińce“ i „Ryśce D.“ — „Smutna Kazienka“ przesyła pozdrowienia i zapytuje równocześnie, czy ktoś z wymienionych Sympatyków nie zechciałby z Nią nawiązać korespondencji.

ZAMIAST WSPÓŁCZUCIA

„Ramzes“ i „Natan“ przesyłają pozdrowienia dla wszystkich szatynek i złotych blondynek. Między innemi piszą:

„Czas prędko przeleciał od ostatniego listu do Pani, oraz przedstawienia nas w „Krainie“. Bardzo dziękujemy za spełnienie naszego życzenia, które za pośrednictwem Pani przyniosło nam dużo zadowolenia w naszem „przedsionku“ — na krańcu świata. Dzięki niemu mamy obecnie wypełniony wolny czas, a także przysporzyliśmy sobie miłej i wartościowej rozrywki. „Natan“ nie narzeka już wieczorami na nudy, gdyż absorbuje go całkowicie korespondencja, natomiast „Ramzes“ szczerze zmartwiony, bo... się zakochał“.

Drogi Panie „Ramzesie“! widzę, że to „zmartwienie“ Pana nie jest tak bardzo poważne, gdyż list, który ostatnio otrzymałam, jest tak humorystycznie nastawiony, że przy odczytywaniu go śmiałam się bardzo serdecznie. Zamiast współczucia przesyłam Panu i Jego Koledze dużo pozdrowień i życzę Panu całkowitego zbratania się z Amorem.

„NAPISZCIE DO MNIE PIERWSI“

„Samotna Konwalja“. Miejsce w „Krainie“ na odpowiedź dla Pani zawsze się znajdzie, dla tego proszę, niech Pani nigdy nie zwleka z pisaniem listu, lecz jeżeli ma ochotę do zwierzeń — pisze. Jeden z wierszyków zamieszczam, tak samo króciutki wyjątek z listu Pani:

„Hallo! „Konwaljo“ — „Akri“ — i „Ena“. Dziękuję Wam za pozdrowienia i proszę, napiszcie do mnie, gdyż ja z pewnych powodów nie mogłam pierwsza tego uczynić.

„Idealisto z nad Bałtyku“! kiedy otrzymam moją fotografję? Czekam!“

„CIEKAWA JESTEM, KTO DO MNIE NAPISZE?“

„Boginka II“ przesyła mi bardzo miły i kochany liścik. Oto on:

„Kochana Pani Zofjo! Kiedy znalazłam odpowiedź w „Krainie“ na mój pierwszy liścik, o mało nie podskoczyłam z radości. Więc już jako należąca do grona sympatyków „Krainy“, pozwalam sobie napisać znów, choć krótki liścik. Mija już jesień. Wiatr hula po pustych polach, szarpie nagiemi konarami drzew, zrywając ostatnie pożółkłe liście. Na cmentarzyskach kwiatów szeleszczą suche badyle. Na świecie już zimno. Dobrze jest siedzieć w domu. Lecz tak strasznie długie te wieczory zimowe. Najmilszą rozrywką byłoby dla mnie pisanie listów i prowadzenie miłej i ciekawej korespondencji. Ciekawą jestem czy znajdzie się ktoś, co do mnie napisze? Choć jestem jeszcze bardzo młoda, przeszłam już dużo doświadczeń życiowych, mimo to jestem zawsze wesoła i pełna humoru. Cieszę się, że po jesieni nastąpiła zima, gdyż jest ona mojem zdaniem najmilszą porą roku, ponieważ lubię uprawiać sport zimowy, a najbardziej jeździć na łyżwach i chociaż niebardzo jeszcze umiem, ale dzięki temu jest więcej uciechy i śmiechu. A może znalazłby się jakiś partner, któryby zechciał towarzyszyć mi na ślizgawce?

Na zakończenie przesyłam pozdrowienia: „Błękitnemu Rycerzowi“ — „Stęsknionemu Jurkowi z Bydgoszczy“ — „Giaurowi“ — „Te-Em“ — „Ord - Omowi“ i Ursusowi“.

Teczka Wujka Janusza

MAM NADZIEJĘ...

P. M. Choszcz. Prócz wiersza: „Sen nocy zimowej“ inne pójdą do druku. Równocześnie proszę Pana o dobieranie przy pisaniu wierszy zawsze tematów oryginalnych, a nie jak często się u Pana zdarza banalnych i bardzo utartych. Mam nadzieję, że odpowiednio się Pan ustosunkuje do mojej życzliwej rady. Bardzo proszę! Łączę miłe pozdrowienia i wyrazy serdeczności.

NIE TRZEBA...

Nie trzeba wątpić w Boga istnienie,
Choć nieraz przyjdą chwile okrutne —
Nie trzeba nigdy popaść w zwątpienie,
Chociaż życie naprawdę jest smutne.

Nie trzeba nigdy porzucić Boga,
Chociaż i przyjdą duże cierpienia —
Nie trzeba upaść, choć rozpacz sroga,
Chwile udręki w szczęście zamienia.

Lecz trzeba wierzyć mocno — niezłomnie,
Że Bóg jest i nad wszystkiem panuje —
A zaś cierpienia trza znosić dumnie,
Wszak Bóg wtedy i radość zgotuje.

Michał Choszcz — Grudziądz.

WIERSZYK MIŁY I BEZPRETENSJONALNY

Zbłąkana Gwiazda“. Mimowoli uśmiechnęłem się do listu Pani — taki ogromny i sympatyczny. Dziękuję i proszę o częstszą tego rodzaju pamięć.

Jeden z wierszyków zamieszczam. Bardzo miły i bezpretensjonalny. Proszę o więcej podobnych. Żegnam Panią szczeremi pozdrowieniami i oczekuję nowej przesyłki.

CHYBA MI WOLNO...

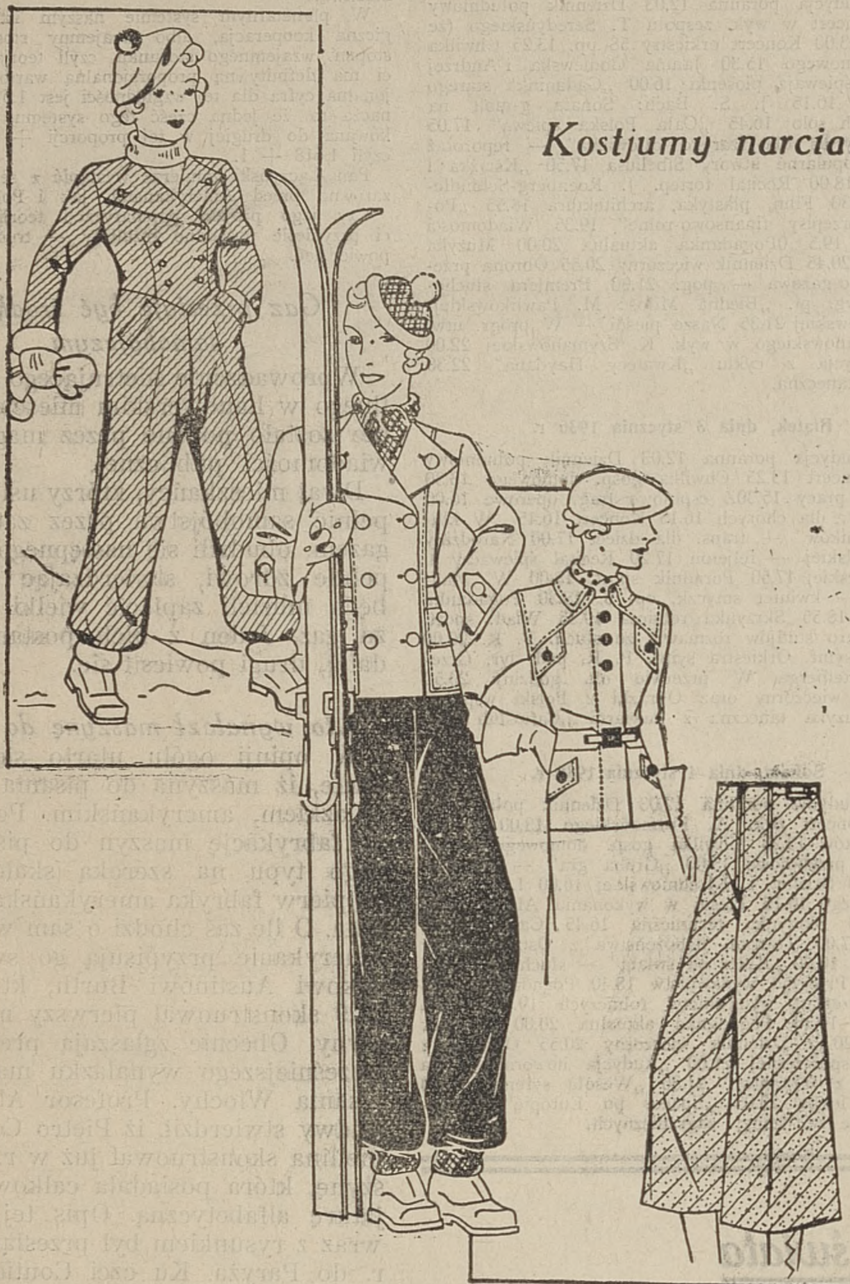
Chyba mi wolno kędyś w skrytości,
Wypłakać cicho mój serdeczny żal
I posłać rzewną skargę w zaświaty,
Na grzbietach powietrznych fal!

Chyba mi wolno moje marzenia,
Powierzyć wichrom i gromom burz!
I mówić niby do dobrych ludzi,
Rankiem do złotych, świetlanych zórz!

Chyba mi wolno późną jesienią,
Całować złote listki drzew,
Pieścić je, niby duszki umarłe,
Wsłuchując się w wiatru wiew.

„Zbłąkana Gwiazda.“

Raj kobiet



Kostjumy narciarskie

Sezon narciarski w pełni. Zapalonych narciarzy i narciarki, między innemi bardzo absorbuje kostjum. Przy wyborze przedewszystkiem należy zważać na to, aby był wygodny, praktyczny i ciepły. A więc trzyćwierciowe, albo długie spodnie z grubej wełny. pullowery, sportowe bluzeczki z prążkowanej flaneli. oraz kurtki zamszowe, względnie z sierści wielbłądziej.

Wyżej podane kostjumy poinformowują nas szczegółowiej, jak powinien wyglądać pełen ekwipunek na podróż zimową w góry.

Najodważniejsze kobiety świata

W wojnie z Włochami kobieta abisyńska walczy o swój los i o swoją wolność narówni z mężczyzną, a szacunku i zaufania, jakimi się cieszy i dzielności, jaką okazuje — pozazdrościć może niejedna nawet biała kobieta często niewolnica przesądów.

Jaka jest pozycja społeczna kobiety abisyńskiej, jaką ona rolę odgrywa podczas wojny, czem się różni od innych kobiet?

Musimy spojrzeć daleko wstecz, aby odnaleźć początki hierachji abisyńskiej. Pierwszym królem starej Etjopji był Menelik I ,syn króla Salomona i królowei Saby, który wprowadził zamiast religji żydowskiej adorację Słońca. Etjopi rządzili się wówczas tylko prawem swych matek, gdyż małżeństwo istniało tylko, jako spółka do pracy. Dzieci należały wyłącznie do swych matek i dziedziczyły nazwisko matki. Rada miejska składała się z czcigodnych matron, a majątki rodzinne dziedziczono po linji matki.

Nawet teraz jeszcze, po śmierci mężczyzny ziemia jego dziedziczona jest przez dzieci, jego siostry, a gdy zostaje zabita kobieta zamężna — zemścić się ma na mordercy obowiązek nie mąż zabitej, lecz jej bracia.

bisynka może dysponować swoją osobą zupełnie swobodnie i może się domagać osobiście odszkodwania za każdą wyrządzoną jej krzywdę lub obrazę.

Słowo kobiety jest święte ma ona prawo zeznawać w sądzie, nie wolno jej kłamać. Jak wysoko w tym dzikim kraju ceniona jest kobieta, jak wielkie ma znaczenie, świadczy fakt, że jeżeli zdarzy się, że Abisynka się sprzeniewierzy, a kłamstwo zostaje przez świadków udowodnione — podlega ona najsurowszej karze — wgnania poza nawias społeczeństwa. Wygnana jest ze wsi, ksiądz jej nie wyspowiada, kobiety odwracają się od niej. Pozostaje jej do wyboru albo klasztor, albo też, jeżeli zdoła gdzieś ukraść strzelbę — przyłączyć się do jednej z band rozbójniczych, które grasują w górach.

Abisynja nie ma dróg, ma tylko ścieżki. Gdy wyrusza w drogę karawana z towarami, lub żywnością — musi mieć mocną ochronę od rozbójników, którzy czyhają na zdobycz. Droga trwa nieraz kilka tygodni, gdyż posuwać trzeba się wolno poprzez niezmierzone przestrzenie. Wynajduje się dla ochrony zawodowych żołnierzy, którym płaci się określoną ilość cegiełek soli, lub metrów wełny tygodniowo. Otóż często spotyka się między żołnierzami kobiety i są to żołnierze najdzielniejsi i najwytrwalsi.

Tygodniami całemi maszerują po stepach i górach z fuzją na ramieniu. Noszą długie białe spodnie i szerokie spódnice, a tak zwana „szamma" okrywa im piersi i szyję.

Gdy karawana dociera do jakiełjś rzeki, rozbierają się narówni z mężczyznami, skaczą do wody, kąpią się i nacierają później swe ciało oliwą. Pomagają następnie napoić bydło i przeprowadzić je przez rzekę, a przez cały ten czas trzymają strzelbę nad głową, gestykulując, krzyczą, uderzają wodę lancami, aby uchronić bydło przed krokodylami.

Dzielnością swą przewyższają mężczyzn. Gdy pewien europejczyk chciał taką amazonkę wynagrodzić — po szczęśliwem dotarciu do miejsca przeznaczenia i zapytał czegoby sobie życzyła, obejrzała czerwony jedwabny szal europejczyka, którym chronił szyję od słońca i małą wzorzystą parasolkę, której używał również w tym celu. Po chwili jednak oderwała wzrok od tych pokus i wyszeptała:

— Rewolwer byłby bardziej pożyteczny.

Gdy dostała prawdziwy rewolwer, schyliła się niespodziewanie i ucałowała buty swego ofiarodawcy.

— Niech Cię najświętsza Marja ma w swej opiece — powiedziała.

Niektóre wielkie damy z Północy mają wielkie posiadłości ziemskie otrzymane albo od męża albo od cesarza. Zarządzają niemi doskonale dzięki swej niezwykłej dzielności. Zbierają podatki oddają w dzierżawę, przyjmują gości, naznaczają oficerów, którymi doskonale dowodzą w czasie wojny.

Największą jednak Panią Abisynji, czczoną tam nadzwyczaj gorliwie jest Matka Boska — Święta Marja. zwana tam „Maryam" której ludność tubylcza poświęca tysiące kościołów. Spotykamy się jednak z ciekawą analogją, gdyż żadnej kobiecie nie wolno znajdować się w kościele, nie wolno nawet, aby znajdowało się tam jakiekolwiek stworzenie płci żenskiej świata zwierzęcego.

Żadna kobieta nie śmie przestąpić progu kościoła. Księżom nie wolno hodować kur, ani gęsi, ani owiec.

Wojowniczki abisyńskie noszą obrazki i medaljony z Matką Boską na piersiach. Opierając policzki o swe strzelby przyzywają je na pomoc i modlą się do niej.

W żyłach Abisynek płynie odważna krew. Potomkinie królowej Saby nie wiedzą, co to strach. Dla mężczyzn są czemśś więcej, niż pomocnicami — są towarzyszkami i często nawet kierowniczkami.

Abisynja jest krajem rolniczym i życie jej obywateli zależne jest od zbiorów. Lud żyje prymitywnie i zadawalnia się najskromniejszemi warunkami bytu. Abisyńczycy uprawiają ziemię, sieją, a praca ich przy tem jest podzielona. Istnieje bowiem przesąd, że gdy kobieta dotknie się choćby pługa — urodzaj zginie. Wolno jej brać udział tylko w żniwach. Wobec tego wojownicy wolą sami uprawiać swe ziemie, a oręż powierzają swoim kobietom o lwich sercach, gdy zdobyły one już prawo do smarowania swych kędzierzawych włosów masłem, to znaczy, gdy przeszły już przez pierwszy chrzest odwagi i zabiły jakieś dzikie zwierzę nożem lub oszczepem.

W tym „najstarszym kraju świata" ludzie są równie odważni, jak lekkomyślni, kobiety mówią mało, natomiast gadatliwi są mężczyźni.

W nierugularnych oddziałach wojsk abisyńskich można spostrzec czasami w pochodzie żołnierzy ze strzelbą na jednem ramieniu i z małą słoneczną parasolką w drugiej ręce, co zresztą charakteryzuje dwoistość ich charakteru: wojowniczość i lenistwo.

Zdarza się również, że kobieta z niemowlęciem na plecach celuje do lamparta i zabija go.

Czy odważne amazonki i półdzicy górale abisyńscy, kochający swą wolność i niepodległość potrafią się obronić przed wojną, prowadzoną przez lotników i trujące bomby?

DOBRA GOSPODYNI

Tort z orzechów włoskich. 12 żółtek utrzeć do białości z 1/4 kg orzechów włoskich zmielonych na młynku, z 5 dekagramów mąki i pianą z pozostałych białek, wymieszać wszystko razem, podzielić na dwie części i upiec w dwóch tortownicach wysmarowanych masłem i wysypanych bułką. Gdy placki przestygną, przełożyć je następującą masą: 1/4 kg orzechów włoskich zmielonych na maszynce i 1/4 kg cukru, zarobić kilkoma łyżkami słodkiej śmietanki, a po nasmarowaniu wstawić jeszcze na 10 minut do wolnego pieca. Po zupełnem wystygnięciu ubrać tort po wierzchu połówkami orzechów zmaczanezmi w gęstym bardzo syropie i polukrować lukrem cytrynowym.

Tort pomarańczowy. 35 dkg cukru w kawałkach otrzeć o skórkę z dwóch pomarańcz, włożyć do rondelka, zalać pół szklanką wody, wydusić sok z tych samych pomarańcz i ugotować na gęsty syrop, a potem wlać do donicy i ucierać wałkiem. gdy zbieleje, dodać 12 żółtek ubitych wpierw z 1/4 kg cukru, 1/4 kg oparzonych migdałów zmielonych na młynku i dalej ucierać. Wkońcu wymieszać z pianą z siedmiu białek i trzema łyżkami tartej przesianej bułki, wlać do tortownicy wysmarowanej masłem i wysypanej bułką i piec w średnio ogrzanym piecu. Po wystygnięciu polukrować lukrem pomadkowym, pomarańczowym z dodaniem araku.

Lukier biały. Ubić pianę z pięciu białek, wsypać w nią 1/2 kg miałkiego cukru i trzeć wałkiem w donicy aż się bąble zaczną pokazywać. Potem dodać do smaku soku z cytryny, rozsmarować nożem po torcie, lub mazurku i wstawić na 5 minut do całkiem letniego pieca.

Lukier przezroczysty. 1/2 przesianego cukru mączki, rozcierać wałkiem w donicy, dolewając po parę kropel tyle wody, by się zrobiła rzadka masa, która się da nożem lub pendzlem rozsmarować. Gdy już będzie zupełnie przeźroczysta, dodać trochę białego araku dla zapachu, oblać nią dany przedmiot i wstawić na 5 minut do letniego pieca.

Lukier pomadkowy. Zrobić gęsty syrop z 1/4 kg cukru w kawałkach i gotować tak długo, aż się sperli, a za zdmuchnięciem pokażą się grube ciągnące nici. Wtedy go wylać do donicy lub miski i ucierać w jedną stronę tak długo, aż się utworzy gęsta, biała masa. Taki lukier można przyrządzić z najrozmaitszemi smakami. Gdy masa stwardnieje, rozprowadzić ją albo sokiem cytrynowym, albo wodą pomarańczową, cytryną i arakiem, mocną czarną kawą, sokiem berberysowym, ananasowym lub innym etc.,

stosowanie do tego, jakiego koloru i smaku lukier potrzebny. Po posmarowaniu tortu postawić w zimnem miejscu do zastygnięcia.

RADY PRAKTYCZNE

Popiół z papierosów jest bardzo dobrym środkiem do czyszczenia metali, szkła, luster, etc. ponieważ zawiera w sobie dużo potasu, który brud rozpuszcza, a że jest bardzo miałki więc nie rysuje przedmiotów.

—o—

Doniczki kwiatowe, które zczerniały i zzieleniały przez dłuższe stanie, czyści się wycierając je najpierw piaskiem z wodą, a potem rozmiękczoną, czerwoną glinką.

—o—

Gwoździe i haki, które wylatują z murów, należy wyjąć obwinąć lekko watą, zanurzyć w gęsto rozrobionym gipsie i zabić w ścianę w poprzednie miejscach, a będą trzymały mocno.

—o—

Klatki pokojowe ptaków chcąc zabezpieczyć przed niemiłym odorem, należy wysypać na dnie gipsem, a po wierzchu dopiero piaskiem.

—o—

Zamarznięte szyby łatwo się obmywają mocno posoloną wodą, pod którą znikają desenie i kwiaty utworzone przez silny mróz.

Kostjumy

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 29 grudnia 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transm. nabożeństwa z Torunia 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny (z Łodzi) 14.00 „Wyjazd do ciotki" — fragment powieści 14.20 Muzyka lekka 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Łamigłówki" dla dzieci 16.15 Nasza Marynarka gra 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 „Migawski regjonalne" 18.40 Wiadomości sport. 18.45 Teatr Wyobraźni 19.15 Co czytać? 19.30 Na wesołej lwowskiej fali 20.00 Dziwne nastroje (płyty) 20.10 „Straszny Dwór" — opera St. Moniuszki — trans. z Teatru Wielk. W przerwie I-ej ok. godz. 21.00 „Wyjątki z pism J. Piłsudskiego" oraz Dziennik wieczorny. W przerwie II-giej około godz. 21.55 „Dęby i obrazy w Rogalinie" — felj. wygłosi St. Wasylewski. W przerwie III-ciej ok. godz. 22.50 Wiadomości sport. ogólne.

Poniedziałek, dnia 30 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy Koncert Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Zdz. Górzyńskiego 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Koncert rewellersów „Wesoła Piątka" 16.00 Lekcja jęz. niem. 16.15 Muzyka 16.45 „Wysoka eksmisjo" — skecz 17.00 „Babska ciekawość" — pog. 17.15 Minuta poezji 17.20 Cl. Debussy: Sonata na flet, altówkę i harfę 17.50 Zielony krzew jemioły — pog. 18.00 Recital śpiewaczy Cz. Perenson 18.30 Listy dla dzieci 18.55 Skrzynka rolnicz. 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Aud. strzelecka 20.30 Arje w wyk. J. Schmidta (płyty) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współcz. 21.00 Koncert Pol. Kap. Lud. Fr. Dzierżanowskiego 21.30 „Polska awangarda poetycka" — Wieczór literacki 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 31 grudnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Melodje z roku 1935" 13.25 Chwilka gosp. domowego 13.30 Z rynku pracy 15.30 Koncert zesp. H. Adamskiej-Grossmanowej 16.00 Słuchowisko dla mł. szkolnej 16.15 Lekkie melodje i piosenki 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Jak powstał kalendarz" — odczyt 17.15 Płyty dla znawców 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Recital fortep. Stelli Dobryszyckiej 18.30 Szkic lit. K. Irzykowskiego 18.55 „Młodzież wiejska u progu Nowego Roku" 19.35 Wiad. sport. 19.50 Pog. aktualna 20.00 „Monolog Sylwestrowy" 20.10 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współcz. 21.15 „Mała Orkiestra Polskiego Radja żegna rok 1935" 23.05 Wesoła aud. sylwestrowa 23.55 Do naszych słuchaczów 0.04 „Łańcuch życzeń" — (aud. zbiorowa) ze wszystkich rozgł. P. Radja 0.30 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 1 stycznia 1936 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transm. nabożeństwa z Krakowa 12.15 Powtórzenie Polsk. Konc. Europejsk. 13.20 Fragment słuchowiskowy 13.40 Arje i pieśni w wykonaniu Jana Kiepury 14.00 „Nowy Rok" — humoreska 14.20 Mazyka lekka i salonowa 15.00 „Godzina rolnika" 16.00 „Miesiączkowie — pachołeczki" 16.20 Recital wiolonczelowy K. Wiłkomirskiego 16.50 „O muzyce w Polskim Radjo" — mówić będzie kier. Wydz. Muzyczn. P. R. Edm. Rudnicki 17.05 Muzyka taneczna 18.05 „Świat się śmieje" 18.15 Arje i pieśni w wyk. Stani Zawadzkiej, przy fortepjanie prof. W. Raczkowski (z Poznania) 18.40 „Skąd się biorą dziurki w serze szwajcarskim" — słuch. 19.50 Reportaż akt. 20.00 „Gwału rattujcie" — wesoła aud. muzyczna 20.55 „Życzenie dla Antenatów" 21.0018-ta audycja z cyklu „Twórczość Fryd. Chopina" 21.35 „Rozmowa Starego Roku z Nowym — aud. M. Hamera 21.50 Wiadomości sportowe 22.05 „Płyta za płytą — muz. taneczna W przerwie o godz. 23.30—23.37 „Do słuchaczy zagranicznych" przemówi w języku angielskim i francuskim J. Podoski.

Czwartek, dnia 2 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert w wyk. zespołu T. Seredyńskiego (ze Lwowa) 13.00 Koncert orkiestry 58 pp. 13.25 Chwilka gosp. domowego 15.30 Janina Godlewska i Andrzej Bogucki śpiewają piosenki 16.00 „Gadaninka starego Doktora" 16.15 J. S. Bach: Sonata g-moll na skrzypcach solo 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.05 P„Srebrny lis dla szarego człowieka" — reporotaż P17.20 Popularne utwory Sibeliusa 17.50 „Książka i wiedza" 18.00 Recital fortep. J. Roenberg-Schindlerowej 18.30 Film, plastyka, architektura 18.55 „Poznajmy przepisy finansowo-rolne" 19.35 Wiadomości sportowe 19.5 0Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka taneczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrona przeciwlotniczo-gazowa — pog. 21.00 Premjera słuchowisko oryg. pt. „Biedna Miłość M. Pawlikowskiej-Pjasnorzewskiej 21.35 Nasze pieśni — W progr. utw. K. Szymanowskiego w wyk. K. Szymanowskiej 22.00 9-ta audycja z cyklu „Kwatecy Haydana" 22.30 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 3 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.25 Chwilka gosp. domowego 13.30 Z rynku pracy 15.30Z espołowe frag. operowe 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert 16.45 „W klubie uliczników" — trans. dla dzieci 17.00 Narodziny prasy Polskiej — feljeton 17.20 Recital śpiewaczy I. Gierałtowskiej 17.50 Poradnik sport. 18.00 W. Maliszewski — kwintet smyczk. op. 3. 18.30 Pogadanka aktualna 18.55 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiad. sport. 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuch. P. R. 20.00 Koncert symf. Orkiestra symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga W przerwie ok. godziny 20.50 Dziennik wieczorny oraz Obrazki z Polski współcz. 22.30 Muzyka taneczna z kawiarni „CafaClub".

Sobota, dnia 4 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert ork. A. Furmańskiego 13.00 Zespół harmonistów 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.302 Piosenki przebojowe 15.00 „Gruba gra" — humoreska 15.30 Sekstet J. Klechniowskiej 16.00 Lekcja jęz. francuskiego 16.15 Pieśni w wykonaniu Al. Bielakowa 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Transm. nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.00 „Klucz od świata" — słuch. dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społ. 18.55 Przegląd wydawnictw rolniczych 19.35 Wiad. sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wieczór Kolend 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Audycja noworoczna dla Polaków z zagranicy" 21.30 „Wesoła syrena" 22.00 Muzyka lekka 23.05 „Spacer po Europie" — retransmisje ze stacyj zagranicznych.

Ze świata

Polak amerykański pisze dzieło o teorji względności

W Ameryce utarło się przekonanie, że teorji względności profesora Einsteina nikt nie rozumie. Każdy więc zwolennik lub przeciwnik tej teorji może mieć rację, gdyż nikt nie jest w stanie stwierdzić w sposób decydujący, kto się myli, a kto ma rację.

W New Yorku pojawił się śmiałek, który występuje ze swą teorją względności.

Jest nim Polak, Franciszek Lenc-Łączyński, który pochodzi z Wielkopolski. Urodził się w Berlinie i od 21 lat przebywa w New Yorku. Jest on astronomem-fizykiem.

Zadaniem jego dzieła jest przedstawienie nowej teorji względności i spopularyzowanie wiedzy wśród nieuświadomionego ogółu. Celem jego pracy jest przedstawienie wszechświata w sposób jasny i logiczny.

Chcąc to uczynić, trzeba stworzyć nowe prawa, obalając dawne poglądy, których prawowierności nie wolno kwestjonować.

Dziś astronomja jest nieprzeniknioną fortecą, do której tylko specjaliści dostać się mogą. Autor Łączyński chce zwykłemu człowiekowi dostępnić zrozumienie tej teorji względności w sposób, któryby go nietylko informował, ale zachęcał do dalszych badań, dostępnych dla przeciętnego umysłu.

Dzieła p. Łączyńskiego, zatytułowane „Relativity 16 18", składa się z 6-ciu części i wstępu.

We wstępie autor zaznacza, że „mglistość i niepewność" nauki o wszechświecie jest głównym motywem dążenia z jego strony do bardziej określonej formy, do prawa, któreby dało wszechświatowi bardziej rzeczywistą egzystencję i uprościło wyjaśnienia:

Przyszłość będzie musiała wykazać, czy takie prawo wytrzyma próbę.

Obecnie zadaniem jest stwierdzenie, czy we wszechświecie jest harmonja i że ta harmonia jest wyrażona przez dobrze zrównoważoną koordynację wartości. W dobrze zorganizowanem państwie funkcje każdego członka znajdują się w pewnym stosunku do funkcji drugich.

Bez tej kooperacji całość egzystencji byłaby niemożliwą.

W planetarnym systemie naszym istnieje analogiczna kooperacja, albo wzajemny stosunek. Ten stopień wzajemnego stosunku, czyli teorja względności ma definitywną proporcjonalną wartość. Proporcjonalna cyfra dla tej względności jest 1.618 +. Oznacza to że jedna część tego systemu jest ustosunkowana do drugiej w tej proporcji + 1. 1,618 +, czyli 1.618 + 1.

Pan Łączyński zamierza wystąpić z serją odczytów zarówno przed Amerykanami, jak i Polakami

Czy jego projekt popularyzacji teorji względności przyniesie pożądane rezultaty — trudno dziś coś powiedzieć.

Gaz przestaje być środkiem samobójczym

Wprowadzenie nietrującego gazu świetlnego w hanowerskim mieście Hameln nie zostało podane przez magistrat do wiadomości publicznej.

Dwaj mieszkańcy, którzy usiłowali popełnić samobójstwa przez zatrucie się gazem, obudzili się następnego dnia zupełnie zdrowi, stwierdzając tylko, że będą musieli zapłacić wielki rachunek za gaz. Jeden z nich postanowił żyć dalej, drugi powiesił się.

Kto wynalazł maszynę do pisania

W opinji ogółu utarto się przekonanie, iż maszyna do pisania jest wynalazkiem, amerykańskim. Pewne jest, że fabrykację maszyn do pisania jednego typu na szeroką skalę podjęła najpierw fabryka amerykańska Remingtona. O ile zaś chodzi o sam wynalazek, Amerykanie przypisują go swemu rodakowi Austinowi Burth, który w r. 1829 skonstruował pierwszy model maszyny. Obecnie zgłaszają pretensje do wcześniejszego wynalazku maszyny do pisania Włochy. Profesor Aliprandi z Padwy stwierdził, iż Pietro Conti z Lamellina skonstruował już w r. 1823 maszynę, która posiadała całkowitą klawjaturę alfabetyczną. Opis tej maszyny wraz z rysunkiem był przesłany w 1828 r. do Paryża. Ku czci Contiego wmurowano w ścianie ratusza w Lamellino tablicę pamiątkową. W r. 1864 skonstruował również model maszyny innego typu Austrjak Piotr Mitterhofer.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 68)

„Myślę panienko“, dodał po małej przerwie, „byśmy się udali do kajuty i przypieczętowali tam naszą przyjaźń szklanką grogu. Może pani nie zna tego djablo dobrego napoju, w takim razie mogę służyć kieliszkiem wina. Proszę nie dać koszyka mojej gościnności, gdyż staremu Klasowi od siedmiu ostrych zim nie zdarzyło się, spotkać rodaczki na pokładzie francuskiego okrętu. Z nami jeździ zwykle tylko paryskie pospólstwo.“

Anielcia w towarzystwie sternika udała się do elegancko urządzonej jadalni. Klas zamówił tubalnym głosem butelkę wina dla Anielci, dla siebie zaś szklankę grogu.

„Tylko czysto marynarski“, dodał, chcąc wyrazić, że rum ma dla niego większe znaczenie, niż gorąca woda.

„Na pomyślność naszej przyjaźni!“ zawołał, trącając się z Anielcią. „Polacy powinni wszędzie trzymać ze sobą, — polska wierność nie jest dotychczas próżnym frazesem.

„Ach, przy tej sposobności zapoznam panią z naszym pierwszym oficerem“, mówił dalej Jan Klas zniżonym głosem, rzucając okiem na młodego przystojnego mężczyznę, ubranego w mundur marynarski, „wprawdzie to Francuz, ale porządny człowiek. — Pan porucznik Marceli Remy, — a to moja przyjaciółka panna Anielcia Dubois.“

„Miałem to szczęście, zauważyć panią w gronie pasażerów“, odparł porucznik, salutując po wojskowemu, „będziemy mieli szczęśliwą podróż, ponieważ na pokładzie znajduje się tyle piękności i młodości!“

„A co — nie mówiłem“, zawołał Klas, wybuchając głośnym śmiechem, „każdy Francuz prawi zaraz komplementy. — Zgóry muszę uprzedzić pana porucznika: wolno panu naturalnie smalić cholewki do tej panny, ile tylko pan zechce. Stary Klas nie powie ani słowa, jak długo nie zostaną przekroczone granice przyzwoitości. Gdybyś jednak pan miał ochotę użyć dużych dział, albo zawrócić głowę pannie, wtedy sternik Jan Klas spadnie jak burza i odrzuci pana na bok, — rozumiesz mój przyjacielu?“

„Naturalnie“, potwierdził Remy z uśmiechem, nie biorąc za złe sternikowi jego ostatnich słów.

Wiedział dobrze, że Klas pod tym względem był niepoprawny.

Pierwszy porucznik zaproponował Anielci zwiedzenie całego okrętu. Sternik przyłączył się do nich, — i wkrótce Anielcia miała sposobność poznać olbrzymią budowę najpiękniejszego okrętu.

Zwiedzili z przepychem urządzone sale pierwszej klasy, w których wszystko było z aksamitu, jedwabiu, kryształu i złota. Młody oficer jakby chciał uwydatnić ostrą różnicę, zaprowadził następnie Anielcię do trzeciej klasy.

Serce Anielci wezbrało litością na widok, że nawet tutaj na morzu istniał kontrast między bogatymi a ubogimi.

Każda podróż morska jest mniej lub więcej połączona z trudnościami i niebezpieczeństwem, które można tem łatwiej znieść, jeżeli się ma pewne wygody, np. piękną kabinę, dobre światło, staranną obsługę i apetyt pobudzający do jedzenia.

Jednak tylko zamożni mogą pozwolić sobie na takie wygody. Ubogi, jak wszędzie zresztą, tak i na parowcu jest zmuszony żyć we warunkach, wpływających niekorzystnie na ogólny stan zdrowia. Więc i tutaj występuje jaskrawo różnica między biedakiem a bogaczem.

Międzypokład, to długa przestrzeń, znajdująca się dosyć nisko pod pokładem i rozdzielona na małe ogrodzenia. W każdem takiem ogrodzeniu mieści się cała rodzina, która się tam urządza, jak może najlepiej.

Łatwo sobie wyobrazić, że w takich stosunkach przychodzi często do nieporozumienia. Rzeczywiście na międzypokładzie dużego okrętu emigracyjnego wybucha ustawicznie kłótnia, która nieraz kończy się rozlewem krwi.

I czyż może być inaczej? Jeden rzut oka na ten stłoczony tłum, przekona nas, że arka Noego, w której, jak wiadomo, począwszy od słonia aż do gołębia było wszystko, co wydała natura, nie mogła odznaczać się większą różnicą.

Tam w kącie rozłożyła się cała rodzina rosyjskiego chłopa. Opuścili rodzinną ziemię, nie mogąc dłużej z niej wyżyć. Mężczyzna patrzy bezmyślnie przed siebie, w ręce trzyma flaszkę, zawierającą wódkę, ostatnie wspomnienie, łączące go z rosyjską ojczyzną.

Nigdy nie był pijakiem, zawsze pracował, ale odkąd stracił ziemię pod swojemi nogami, jest zmuszony w ten sposób dodać sobie odwagi i otuchy przed tym nowym światem.

Nie mała to bagatela, spełnić tego rodzaju postanowienie, — wywędrować do Ameryki ze żoną i siedmiorgiem dzieci. Najstarsza dziewczyna liczy szesnaście lat, — najmłodsze jest jeszcze przy piersi. Dziewczę, czarnowłosa, ognista Rosjanka, plecie swoje długie warkocze i nuci piosnkę, jedną z tych smętnych melodyj, które słychać tylko na stepach i nad szumiącą Wołgą.

Od czasu do czasu rzuca spojrzenie do sąsiedniego ogrodzenia.

Siedzą tam czterej młodzi mężczyźni, którzy zajmują jej myśli.

Jeden z nich, o wiotkiej pięknej postaci, ubrany jest z pewną starannością. Długi, wypielęgnowany wąs zdobi jego delikatnie wykrojone usta. Nad kołyską tego mężczyzny z pewnością nie było napisane, że kiedyś będzie jechał trzecią klasą do Ameryki na międzypokładzie „Gloire de France“. Przed dwoma laty stał świetnie jako podróżujący jednej paryskiej firmy; różowa przyszłość leżała przed nim. Niestety gra! W ciągu jednej nocy przegrał całą podręczną kasę i 20.000 franków, które zainkasował w imieniu swojego szefa. Następstwem tego było: odkrycie, zaaresztowanie i zasądzenie na dwa lata więzienia i to przy zastosowaniu łagodzących okoliczności. Niedawno otwarły się przed nim bramy posępnego domu. Obecnie z pomocą litościwego krewniaka, który mu wręczył pieniądze na podróż, znajdował się na okręcie, zdążającym do amerykańskich wybrzeży.


Mary Pickford, słynna artystka filmu niemego zamierza w przyszłym roku oddać się pracy politycznej i jak oświadczyła pragnie być wybraną na członka kongresu.

Drugi był holenderskim krawcem i śnił o złotych górach, które spodziewał się znaleźć w nowym świecie. Trzeci to zwykły syn chłopski z Prowansalji, odpowiadający głośnym wybuchem śmiechu na każdy dowcip komiwojażera.

Czwarty wreszcie, wysoki jak topola, odznaczał się opalonem obliczem i lekkim zarostem. Przez siedem lat wystawiał rozpalonych piasków pustyni wystawiał swoje ciało na kule Arabów, wkońcu postanowił spróbować szczęścia w Ameryce.

Dalej nieco od tego ogrodzenia, rozłożyła się cała rodzina, nie wyglądająca na szczęśliwą.

Był to kupiec z Bordeaux z żoną i czworgiem dzieci, wybierający się do Ameryki z tą nadzieją, że mu się tam uda osiągnąć dobrobyt. W Bordeaux był właścicielem dużego interesu. Niestety, zrujnowała go piękna kobieta, własna żona. — Nie była wprost lekkomyślną, ale jej drobne paluszki nie mogły zatrzymać złota. Obecnie żałowała tego, i różnemi małemi usługami starała się ulżyć swojemu mężowi, cierpiącemu na morską chorobę, i w ten sposób zjednać sobie jego serce. — Rzeczywiście, jeżeli się uda temu nieszczęśliwemu założyć sobie nową egzystencję tam na Zachodzie, to ta kobieta, poczuwająca się do winy, niezawodnie będzie mieć spory udział w urzeczywistnieniu tego planu.

Anielcia była dotychczas w towarzystwie Marcelego Remy i sternika Jana Klasa. Urocze oczy pięknej dziewczyny zachodziły łzami na widok tej nędzy i tych złamanych egzystencji. — Chciała opuścić to smutne miejsce, gdyż zda-

wało się, że zabraknie jej tutaj oddechu. Myślała z przerażeniem, coby robiła wśród tych nieszczęśliwych, gdyby ją przypadek nie był wyratował od tego.

Nagle poczuła, jak ją ktoś pociągnął za suknię. Obejrzała się i zobaczyła przed sobą postać, która ją mimowoli pobudziła do śmiechu.

Był to młody chłopak w wieku około dwudziestu lat, którego mały tułów spoczywał na skrzywionych nieco nogach. Czarny włos spadał mu na barki, ostre zaś rysy z wystającym nosem otoczone były zarostem, który wyglądał, jakby pojedyncze jego włosy spadły z nieba i przypadkowo osiadły na tej twarzy. Z tego bardzo komicznego oblicza spoglądała para owalnych oczu, których melancholijny wyraz odbijał rażąco od całych rysów. — W tej twarzy leżało coś, czego nie zdoła opisać żadne pióro — mięszanina chytrości, podstępu i smutku.

Ubogie łachmany okrywały chudą postać młodzieńca. Stare, wypłowiałe spodnie chowały się w butach z cholewami, sięgającemi aż do kolan. Długi, niegdyś ciemno-brunatny surdut, pełen plam, sięgał mu prawie po kostki. Z pod kołnierza nieodznaczającego się zbyt wielką czystością, wyzierał krawat, zawiązany w istny gordyjski węzeł. Młody chłopak trzymał w prawej ręce paczkę, w lewej zaś czapkę.

„Może pani co pozwoli!" — mówił Żyd tym dziwnym żargonem, którym się posługują rosyjscy Żydzi, złożonym ze słów hebrajskich, niemieckich i rosyjskich, „niech mi pani da co zarobić! — Może ołówek, albo pugilares z prawdziwej skóry juchtowej? To porządny towar, — kupiony w Petersburgu u Samuela Grabowskiego i spółka! — W Ameryce kosztuje to wszystko dziesięć razy więcej. — Nu, zróbmy interes, — niechże biedny Chaim Stieglitz zarobi także drobnostkę."

„Bodaj cię zabiły pioruny, przeklęty Hebrajczyku", zawołał sternik z pobłażliwym uśmiechem, „nawet na morskich falach nie możesz wstrzymać się od handlowania? Nie wiesz tego, że na pokładzie okrętu nie wolno załatwiać interesów? — Czekaj ,ja cię nauczę!"

Chaim Stieglitz zgiął się we dwoje.

„No", odparł, „co to za prawo, — kto je napisał? — Dlaczego nie wolno robić interesów? A z czego mam żyć? Zapłaciłem przecież mój bilet tak samo, jak inni? Dlatego muszę starać się odzyskać ten straszny pieniądz, który mi wydarto za to małe jechanie po wodzie!"

„Więc takiś biedak", pytał porucznik, „że nawet w ciągu podróży nie możesz sobie odpocząć?"

„Biedak?" odparł Chaim Stieglitz i smutny uśmiech zaigrał mu na ustach, „co to znaczy biedak? Tam w Grodnie, zostawiłem matkę i trzynaścioro rodzeństwa. Niech żyją sto lat, — ja jestem najstarszy. Mój ojciec umarł przed trzema laty, ponieważ kozak pozwolił sobie z nim na mały żart.

„Wpakował mu gwałtem do ust kawałek wieprzowego mięsa. Mój ojciec zacisnął zęby, — kozak jednak trzymał go za kark.



W amerykańskim ogrodzie zoologicznym zobaczyć można bardzo ciekawy obrazek wspólnego śniadania lampartów z ich pogromczynią.

„Wreszcie otworzył usta i połknął to nieczyste mięso, — kozak złamał mu atoli, — nu, jak się to nazywa, — wiem już, cały kręgosłup. Od tego czasu chorował ciągle — i cała gmina modliła się do Pana Boga, by go wyzwolił z tych cierpień.

„Co miałem robić, drogi panie, z trzynaściorgiem rodzeństwa, — nu, niech mi wielmożny pan powie, — co miałem robić?"

„Matka powiedziała mi: — drogi Chaimku, — Bóg ulituje się nad tobą, — idź do Ameryki, — rób interesa, szukaj złota, — Bóg użyczy ci trochę szczęścia, — mnie zaś i moim dzieciom posyłaj trochę pieniędzy, — a za to będzie cię błogosławić matka, która tutaj jest zmuszoną siedzieć bezczynnie z całą rodziną. Pocałowałem ją w rękę i rzekłem: Matko, — ty musisz żyć! Masz rację, — wywędruję do Ameryki, — a jeżeli Bóg mię nie wspomoże, to sobie sam pomogę. Mojsze Bermann chodził po całej gminie i zbierał dla mnie pieniądze na podróż, — matka zawinęła mi trochę pieczywa i dzięki Bogu z powodu morskiej choroby, — oszczędzam przynajmniej na jedzeniu."

Proste opowiadanie biednego Żyda wzruszyło Anielcię i wywarło nawet pewne wrażenie na obydwóch mężczyznach.

Porucznik włożył rękę do kieszeni, wyjął swoją jedwabną sakiewkę i wręczył Chaimowi Stieglitzowi srebrnego talara.

Klas wydarł mu z ręki paczkę, mówiąc:

„Zagroziłem ci, że nie pozwolę na handlowanie na okręcie — i dotrzymam słowa. — Jaką przedstawia wartość ten cały twój kram, — sto franków?"

„Wielmożny pan oszuka się", zawołał gwałtownie Chaim Stieglitz, „mój honor nie wart tyle, — niech mi łaskawy pan da pięćdziesiąt franków, a zarobię jeszcze sto trzydzieści procent."

„Więc masz pięćdziesiąt franków", odparł sternik, wręczając Żydowi pieniądze. „Gdy przyjedziemy do Nowego Jorku, to odbierz ode mnie twoją paczkę. Niech mię połknie siedem rekinów, jeżelibym zatrzymał twój bezwartościowy towar."

Młody Żyd zapłakał z rozczulenia i nie mógł wymówić ani słowa. Anielcia tymczasem wyjęła także swój pugilares i położyła dwadzieścia franków na drżącą rękę Chaima:

„Te pieniądze przeznaczam dla waszego rodzeństwa. Z Nowego Jorku poślij je natychmiast do swojej ojczyzny."

„Niech Bóg błogosławi panią", zawołał Chaim drżącym głosem, „coby pani w Ameryce znalazła męża z miljonem dolarów — i gdyby kiedy biedny Chaim Stieglitz mógł się przydać na coś, — zawsze będzie na usługi. Okazałaś pani litość z mojem rodzeństwem, dlatego proszę sobie zapamiętać adres Chaima Stieglitza. — Jakób Grünbaum, właściciel trafiki przy Bowry w Nowym Jorku, mój daleki krewny, wskaże pani, gdzie się znajduję."

Anielcia uśmiechnęła się na te słowa biednego Żyda, nie myśląc nawet o tem, by kiedyś zażądała jego pomocy. W jaki sposób miały się zejść razem ich drogi? Mało niestety wiemy o naszej przyszłości — i jak mało zdajemy sobie z tego sprawę, o ile mogą nam być pomocni inni ludzie! — Losy przekonały później Anielcię, że ten przypadek, który ją sprowadził z tym biednym Żydem na pokładzie „Gloire de France", był szczęśliwem zdarzeniem, — istną opatrznością Boga. — Towarzystwo odwróciło się i szło dalej. Byli już przy drzwiach, prowadzących na schody, którymi się

wychodzi na pokład, gdy nagle oczom Anielci przedstawił się widok, jakiego nie zauważyła dotychczas w tem miejscu. — W małem ogrodzeniu siedziała na krawędzi kufra młoda dziewczyna. Anielcia nie widziała nigdy jeszcze takiej piękności, — takiego szlachetnego i wzniosłego oblicza, — takich oczu, które patrzyły we świat smutnie, a 'mimo to z odwagą.

Całą postać dziewczyny, ubraną w czarną suknię, otaczała atmosfera dziewiczej godności, którą nie potrafiło zniszczyć straszne otoczenie pasażerów trzeciej klasy.

„To dziewczę jedzie samo?" zapytała Anielcia Marcelego Remy, który jako porucznik okrętowy musiał znać listę podróżujących.

Remy rzucił okiem na piękną postać dziewczyny, która zatopiona w myślach, nie zauważyła tego, że ją ktoś obserwuje.

„Tak, przypominam sobie, że wsiadła na okręt w angielskim porcie Pyrmouth, gdzieśmy zarzucili kotwicę na kilka godzin, celem zaopatrzenia się w węgiel. Nie zapisałem jednak jeszcze jej nazwiska do ogólnej listy, — załatwię to natychmiast."

„Nie pasuje zupełnie do tego otoczenia trzeciej klasy", odparła Anielcia, spoglądając ze wzrastającem zainteresowaniem na twarz pięknej nieznajomej, „nieszczęśliwa zabłąkała się tutaj pewnie przypadkiem!"

„Do trzeciej klasy zabłądzi czasem także ten", wtrącił Klas, „który przedtem jeździł gumami. Międzypokład to coś w rodzaju, — ach zapomniałem, jak to nazywają ci przeklęci poeci, — czytałem raz o tem, — tak racja, — to rodzaj wyrównywającej się sprawiedliwości. — Kto na stałym lądzie siedział za wysoko, ten na okręcie zajmuje zwykle pośledmie miejsce trzeciej klasy. Niech mię okręcą dookoła kotwicy jak zardzewiały ten łańcuch, jeżeli ta kobieta nie ma interesującej przeszłości."

„Przeszłość, — za młoda na to, — będzie mieć najwyżej ośmnaście lat."

„W takim razie ma przeszłość ośmnastu lat", bąknął sternik, „czasami i tyle wystarczy. Przynajmniej tak wygląda — naturalnie nie mam na myśli, że zrobiła coś złego; przeciwnie, sądzę, że jej wyrządzono jakąś przykrość."

„Dowiem się zaraz bliższych szczegółów", szepnął Marceli Remy, wcisnął urzędową czapkę na czoło i przystąpił do nieznajomej dziewczyny, która podniosła się na widok porucznika.

Ciekawe było obserwować, jak piękna nieznajoma zaniepokoiła się, zauważywszy przystępującego do niej młodego mężczyznę. — W jej twarzy malował się przestrach, jakby się obawiała, że Remy uczyni jej co złego. Rysy biednego stworzenia przybrały dziwny wyraz, a oczy spoglądały na Marcelego, tak jak patrzy sarna na strzelca, który gotuje się zadać jej cios śmiertelny. — W następnej jednak chwili pierś młodej dziewczyny podniosła się z oddechem ulgi i uspokojenia.

„Proszę panią o przebaczenie za moją śmiałość", przemówił Marceli Remy z właściwą sobie rycerską postawą i z ujmującym, przyjaznym tonem, który musiał natychmiast uspokoić nieznajomą, „jestem pierwszym porucznikiem tego okrętu, — i moją powinnością jest utrzymywać w porządku listę podróżujących. Pani wsiadłaś w Pyrmouth, nieprawdaż?"

„Tak, panie!"

„Pani będzie łaskawą pokazać mi swój bilet!"

Młoda dziewczyna otworzyła małą elegancką, skórzaną torebkę, wiszącą na pasku, i podała oficerowi swoją kartę.

„Jedzie pani sama do Ameryki?"

„Zupełnie sama!"

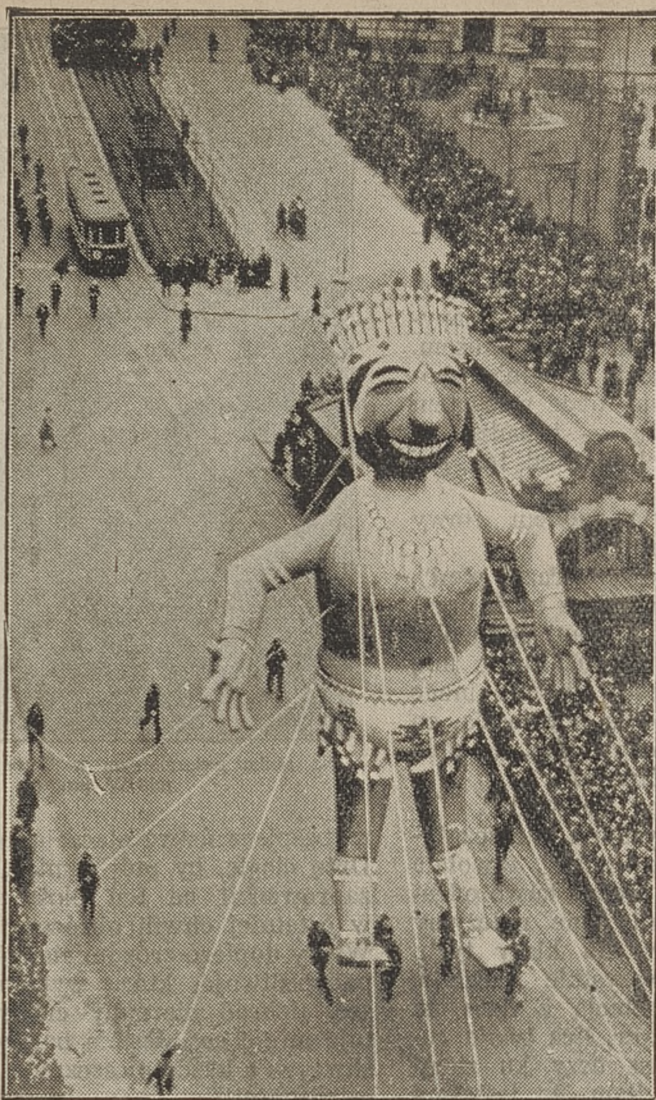
„Zupełnie w porządku!" zawołał Remy, „nazwisko pani Elżbieta Flower."

„Tak, mój panie!" odparła młoda dziewczyna, spuszczając wzrok na ziemię, równocześnie delikatny rumieniec zaróżowił jej policzki, „Elżbieta Flower, — to moje nazwisko!"

„Dziękuję pani! O nic więcej nie będę pytał."

Porucznik okrętowy skłonił się i zwrócił swe kroki w stronę, gdzie go oczekiwał Klas z Anielcią. W parę minut później całe towarzystwo opuściło trzecią klasę.

„Tyle tylko się pan dowiedział?" zapytał sternik, parskając śmiechem, „muszę otwarcie wyznać, że kiepski z pana detektyw! Trzeba było się przynajmniej zapytać, poco jedzie do Ameryki? Zjem psa morskiego nadzianego truflami, jeżeli to nie związane z jakąś ciekawą historją."



Wkońcu listopada odbywa się w Ameryce „Dzień Dziękczynny" za zebrane szczęśliwie zbiory. W dniu tym urządzane są wielkie pochody, a w roku bieżącym obnoszono po ulicach miasta olbrzymiego Indjanina.

„Nie mogłem się więcej pytać", odrzekł Remy, spoglądając z zamyśleniem przed siebie, „zauważyłem jej zachwycające zakłopotanie i sam nie wiem, co się stało, nagle poczułem dla niej wielką litość i zdawało mi się, żeby ją to bolało, gdybym się był dopytywał o bliższe szczegóły. Dlatego dałem spokój; — nie chcąc obrazić biednej dziewczyny."

„Postąpiłeś pan szlachetnie i z taktem zawołała Anielcia. „Czuję jednak współczucie do tej dziewczyny. Może będę mogła dla niej co zrobić? — Odejdźcie panowie na bok. — Właśnie się zbliża po schodach, przemówię do niej."

Elżbieta Flower zdążała na przedni pokład. Prawdopodobnie złe towarzystwo trzeciej klasy zmusiło ją do opuszczenia tego miejsca, — a może nie mogła znieść dłużej dusznego powietrza.

Oparła się o poręcz pokładu i odetchnęła kilka razy pełną piersią. Po chwili skierowała swe oczy na morze, na daleką przestrzeń i wieczną grę sinych fal. Teraz patrzyła znowu tam, gdzie przed godziną zniknęły ostatnie zarysy angielskich wybrzeży. — W spojrzeniu tem leżała głęboka tęsknota, niewysłowiony ból i sucha łza!

CII.

Biedna lady

Elżbieta Flower poczuła nagle na swem ramieniu obcą rękę, podczas gdy przyjazny głos mówił:

„Tam daleko leży ojczyzna pani, kraj snów i tęsknoty? Jeżeli się nie mylę, to posłałaś pani przed chwilą w tamtą stronę ostatnie swoje pozdrowienia?“

Młoda dziewczyna zadrżała znowu, głęboki niepokój odmalował się na jej twarzy. Elżbieta cofnęła się i spojrzała badawczo na Anielcię, — która przemówiła do niej powyższe słowa.

„Dlaczego chce się pani dowiedzieć, czy Anglja jest moją ojczyzną?“ zapytała nieznajoma wzruszonym głosem. — „To jest z pewnością zupełnie obojętne pani! — Jesteśmy obce względem siebie, nie znamy się, — i sądzę, że będzie najlepiej, jeżeli i nadal tak pozostaniemy“.

Anielcia zaprzeczyła ruchem głowy i smutnym uśmiechem.

„Nie miałam zamiaru obrazić pani“, odparła, „ani narzucać się z moją przyjaźnią. Przemówiłam do pani pod wpływem wewnętrznego głosu, który mię wprost zmusił do tego. Obecnie mogę powiedzieć nawet z całą pewnością, co przedtem tylko przeczuwałam, że obie — mamy coś wspólnego!“

„Przecież nie znamy się wcale“.

„O, na czole wszystkich nieszczęśliwych istnieje wyraźny znak“, zawołała Anielcia, „po którym można łatwo odgadnąć wspólną boleść! Obie należymy do klasy wyrzutków, do klasy tych, którzy straciwszy wszystkie nadzieje, zadawalając się wegetacją z dnia na dzień. — Panno Flower, lica twoje rumienią się, spuszczasz oczy ku ziemi — nieprawdaż, odgadłam, że jesteśmy siostrami smutku?“

„I gdybyśmy nawet były?“ odpowiedziała piękna jasnowłosa dziewczyna, „czyż zyskamy co z tego, jeżeli wyjawimy sobie wzajemnie wspólne cierpienia? Nieszczęście nie złagodzi się. — Pozostaw mię pani samą, — nie pytaj i nie badaj więcej, jeżeli nie chcesz, bym była zmuszoną cię podejrzywać o ukryte jakieś zamiary.

„Jeżeli pani sobie życzysz“, odparła Anielcia, „to odejdę natychmiast i zostawię panią samą. Proszę jednak, panno Flower, odpowiedzieć mi tylko na jedno pytanie, lecz otwarcie, chociażby odpowiedź pani miała mnie obrazić. Przyrzekam z góry, że nie będę się gniewać. Za kogo mię pani wzięła?“

Oczy pięknej dziewczyny błysły złowrogo i ostrym głosem odparła:

„Dobrze, jeżeli pani chce koniecznie wiedzieć, — posądzam panią o szpiegostwo!“

„Bolesne to słowo!“ zawołała Anielcia, „dowodzi jednak, że się pani boi szpiegów. Przysięgam, że widzę panią pierwszy raz, — nie znam losów pani, ani nikogo, który byłby w stanie objaśnić mię bliżej. Niech pani będzie przekonaną, że nie jestem szpiegiem, nie mówiąc już o tem, że twarz jest zwierciadłem duszy. Na tyle jestem zarozu miałą, że oblicze moje nie zdradza tak podłych zamiarów“.

Elżbieta Flower wyciągnęła w tej chwili obie ręce w stronę Anieli.

„Przebacz pani“, odparła lekko wzruszonym głosem, „tak — pani nie wygląda na szpiega! Postąpiłam niesłusznie! Gdybyś jednak pani wiedziała, jak bardzo muszę być ostrożną, — jakie



Na rynku gwiazdkowym w Berlinie znajdował się cyrk karzełków, którzy bawili gości swemi występami. W program wchodziły również przedstawienia z udziałem tresowanych koni.

niebezpieczeństwa otaczają mię zewsząd. Drżę ciągle, by mój zamiar, który mię zaprowadził na ten okręt, nie został w ostatniej chwili obrócony w niwecz. Wtedy dopiero zrozumiałabyś pani moją podejrzliwość, która wypełnia mi duszę, ilekroć nieznany człowiek wypytuje mię o coś. Jestem bardzo nieszczęśliwą, — a każde nieszczęście jest matką ostrożności!“

„Rozumię“, zawołała Anielcia, biorąc w swą dłoń rękę młodej Angielki, „pani jednak znajdując się w takiem przykrem położeniu, nie powinnaś odpychać od siebie przyjacielskiej ręki, która się do ciebie wyciąga. Zresztą przyszłam dla tego, by pani coś zaproponować, co z pewnością ucieszy panią“.

„Mnie? — Myślę, że nic na ziemi nie zdoła mię więcej ucieszyć“.

„Rozchodzi się tylko o bagatelę“, dodała spiesznie Anielcia, „to jest właśnie dziwne, że, gdy cierpimy pod wpływem dużej przykrości, to jednak małe drobnostki codziennego życia budzą przecież w nas pewne zainteresowanie. Szalona burza niszczy tylko korony wysokich drzew; natomiast jest zupełnie bezsilną wobec małych kwiatków, wystających zaledwie ponad trawę. — Chodź pani ze mną, podaj mi rękę, pójdziemy zaglądnąć na pokład“.

Elżbieta ujęła pod ramię Anielcię, która w następnej chwili wyjawiła jej tajemnice nowej egzystencji.

„Ja mam ten sam zamiar“, odparła Elżbieta, „chcę pracować. — Obawiam się tylko, — czy będą zdolną do jakiej roboty“.

Anielcia udała, że nie słyszy tych słów. Przymilającym głosem mówiła dalej:

„Przykro mi było, widzieć panią razem z tymi ludźmi, budzącymi tylko wstręt i odrazę! Mam małą, schludną kajutę, przeznaczoną właściwie na dwie osoby. — Niech mi pani wierzy, że nie czuję się w niej jednak swobodnie, dlatego tylko, że nie mam towarzystwa. Proponuję więc, byś pani zechciała zamieszkać razem zemną! O, proszę spełnić moją prośbę! W tej chwili postaram się, by przeniesiono rzeczy pani do mojej kajuty!“

„Czem odpłacę się pani?“ zapytała miss Flower z dumą, która zaniepokoiła Anielcię. „Nie zwykłam przyjmować darowizny!“

„Ależ to nie jest żadnym podarunkiem z mojej strony!“ odpowiedziała Anielcia. „Ach, jak przyjemnie mi będzie, znajdować się w towarzystwie pani! Proszę dalej! Załatwię wszystko sama. — Panie Remy“, — Anielcia wymawiając te słowa zwróciła się ku młodemu porucznikowi, który stał obok niej, — „niech pan będzie łaskaw zająć się przeniesieniem rzeczy panny Flower do mojej kajuty“.

„Z całą chęcią, droga pani“, odparł Remy, oddając uprzejmy pokłon. „Miss Flower będzie tak dobrą objaśnić mię tylko co do swoich kufrów“.

Ciemny rumieniec musnął policzki młodej Angielki, — jej usta zadrżały, jakby nie mogły wymówić tych słów, które zawisły na jej ustach.

„Moje kufry?“ przemówiła wreszcie, „nie posiadam nic, prócz tej małej torebki, przymocowanej do mojego paska, w której mam tylko portmonetkę i chusteczkę!“

Marceli patrzył z niedowierzaniem; Anielcia również cofnęła się wstecz. — To było nie do uwierzenia! Ta dziewczyna opuściła Anglję, w jednej sukni i bez kawałka bielizny.

Tak jak stała, wsiadła na pokład „Gloire de France!“

Widocznie spieszyło się jej bardzo, gdyż tego nie można było przypuścić, by do tego stopnia była ubogą, żeby nie miała środków na kawałek bielizny! Anielcia wyratowała natychmiast Angielkę z nieprzyjemnej sytuacji.

„A, prawdopodobnie rzeczy pani nadejdą następnym okrętem. Tem lepiej! Przynajmniej mam sposobność okazać pani moją przychylność, oddając całą kajutę na jej usługi! Bogatych sukien

nie znajdzie naturalnie pani u mnie, lecz to co mam, z tem podzielę się z całego serca".

Anielcia zarzuciła swoje ramiona na szyję Angielki i pociągnęła ją ze sobą do kajuty.

Miss Flower była zachwycona kajutą, którą zamieszkiwała Anielcia!

Wyglądało tam zupełnie inaczej, aniżeli w trzeciej klasie!

Łóżka leżały ponad sobą, przyczepione do ściany. Na łóżkach było widać białe jak śnieg poduszki. Szeroka, wygodna sofa stała pod owalnem oknem, przez które wchodziło świeże powietrze morskie. Duże zwierciadło odbijało powabne postacie dwóch młodych dziewcząt. Kajuta odpowiadała wszelkiem wymaganiom, jak długo tylko morze było spokojne.

W przeciągu niecałych dwóch godzin, — Anielcia zawarła z Angielką przyjaźń, która nie dałaby się znowu tak łatwo rozwiązać, jak to zwykle bywa u młodych dziewcząt.

Przyjaźń bowiem, łącząca te dwie piękne, młode istoty, była złączona węzłem boleści i nieszczęścia.

Mimo to Anielcia w ciągu następnych dwóch dni nie wypytywała Elżbiety o plany przyszłości. Nie chciała zbudzić w niej podejrzenia, że jest ciekawą! Sama jednak musiała otwarcie wyznać przed sobą, że miała wielką ochotę zerwać tą zasłonę, która leżała na przeszłości młodej Angielki.

Elżbieta nie wspominała, że pozostawiła w Anglji krewnych lub znajomych. Nie mówiła ani o swoich rodzicach, ani o rodzeństwie .Jej usta nie wymówiły tego słowa „dom rodzicielski". Było jednak widać z całego jej zachowania się, że otrzymała staranne wychowanie i wykształcenie. Zaraz pierwszego dnia we wielkim salonie drugiej klasy, podczas gdy pasażerom podawano herbatę. Elżbieta usiadła przy fortepianie, — i po chwili jej delikatne paluszki opadły na klawiaturę, wydobywając z niej cudowne tony.

Wszyscy obecnie poczęli słuchać. — Ogólny zachwyt i zainteresowanie malowało się na twarzach podróżujących.

Elżbieta grała z uczuciem. Zdawało się, że melodja płynie wprost z jej serca. Prócz tego posiadania biegłość, po której można było sądzić, że brała naukę u pierwszych mistrzów w Londynie.

Młoda dziewczyna przestała grać, gdy nagle Anielcia podbiegła ku niej i objęła swoją młodą przyjaciółkę w ramiona, dziękując jej za przyjemność, jaką sprawiła wszystkim swoją cudowną grą!

Kilka dam zbliżyło się do Elżbiety, obsypując ją pochwałami. Ktoś z boku zapytał, czy nie śpiewa.

Elżbieta zaprzeczyła, dodając z czarującym uśmiechem:

„Jestem przekonana, że ta młoda dama", — równocześnie wskazała ręką na Anielcię, — „posiada piękny głos, jak to już widać z jej wymowy. Nieprawda, Anielciu, pani śpiewa?"

Była zmuszoną potwierdzić to pytanie i na usilne prośby przystąpiła do instrumentu. Porozumiała się w kilku słowach z Elżbietą, która w następnej chwili uderzyła w klawisze i zagrała ów prześliczny akompanjament do wzruszającej pieśni Heinego, uwiecznionej w tonach przez nieśmiertelnego Szuberta. Anielcia śpiewała dźwięcznym głosem i z głębokiem uczuciem:

„W ostatnich blaskach wieczora
Morze mieniło się w dali,
Gdyśmy samotnie siedzieli
Przy cichej chacie rybaka.

Mgły się wznosiły, fale szumiały,
Mewy krążyły dokoła,
Z twych oczu pełnych miłości
Wytrysnął strumień, ach łzawy.

Widziałem, jak spadał na twoje ręce
Sam zgiąłem przed tobą kolana,
I z twojej ręki bielszej od śniegu
Spijałem te łzy przeczyste.

Od tej godziny dręczy mię wszystko,
Dusza umiera z pragnienia,
Mój los okrutny, nieszczęsna kobieta
Zatruła mi życie swojemi łzami".

Po chwili ogólnego milczenia, zerwała się burza oklasków.

Z kajuty pierwszej klasy przyszło wielu podróżujących, słuchając z uwagą i skupieniem ducha .

Tony pieśni Heinego i piękność śpiewaczki wzruszyły serca słuchaczy.

Anielcia ujęła Elżbietę za rękę i pociągnęła ją za sobą, nie chcąc słuchać komplementów, jakimi ją zewsząd darzono. Pod wpływem pieśni Heinego uczuła pragnienie pozostać przynajmniej krótki czas sam na sam ze swoją przyjaciółką.

W parę minut później młode dziewczyny spoglądały znowu z pokładu na szumiące fale oceanu.

Cudowna noc spowiła wszechświat w swe cienie, — miljony gwiazd kąpały się w morzu, — księżyc nurzał swoje promienie we wodnych otchłaniach, a fale błyszczały cudownem światłem, właściwem tylko morzu .

„Patrz na te światła morskie!" zawołała Anielcia, opierając się o poręcz i spoglądając w głębię wody, „o Elżbieto, jak tu pięknie i uroczo! Czy się nie ma tego złudzenia, jakby z dna morskiego wydobywały się tony dzwonów? Może jedziemy właśnie ponad zatopionem miastem. Czy znasz tą bajkę o zatopionem mieście Vineta?"

„Słyszałam o niej", odparła Elżbieta, „miasto to leży na dnie morza i śle ciągle dźwięk dzwonów na powierzchnię ziemi. Podobnie istnieją ludzkie serca, które przez długi czas są zamknięte, ponad któremi unosi się tylko tajemnicze milczenie, jak wszechwładny ocean nad zatopionem miastem Vineta. Lecz jednego dnia otworzy się serce i zabije dźwiękiem dzwonów, jednak tylko wtedy, jeżeli znajdzie drugie serce, godne, by otworzyć przed niem swoją tajemnicę".

„A ja, — znalazłam ciebie", mówiła dalej jasno-włosa Angielka z drżącą namiętnością, tuląc nową przyjaciółkę do swej piersi, „tobie, — opowiem wszystko, mimo że postanowiłam nie odkrywać przed nikim tajemnic mojej duszy. Jestem przekonaną, że mię nie zdradzisz i nie nadużyjesz mojego zaufania".

„Nie, nigdy!" zawołała Anielcia, „nie zdradzę cię nigdy, moja droga przyjaciółko! Jeżeli mogę cię pocieszyć lub być ci w czemś pomocną, to mów, — i wyjaw mi wszystko. Przeczuwam, że nad twojem życiem zawisła tajemnica, która cię pędzi w nieznany kraj, — na krańce świata".

„Tajemnica?" wtrąciła Elżbieta, „może to, co przeżyłam, nie jest nawet tak tajemnicze. Może innym ludziom zdarza się to samo. Lecz słuchaj: podałam ci fałszywe nazwisko, nie nazywam się Elżbieta Flower. — Jestem lady Elżbieta Ravington".

Anielcia cofnęła się mimowoli Wprawdzie nie przywiązywała nigdy zbytniej wartości do nazwiska i tytułu, jednak uczuła pewne poszanowanie przed tą młodą, piękną dziewczyną, stojącą przed nią w zwykłej, czarnej sukni, przed tą lady, która należała do najwyższych sfer i stała na najwyższym szczeblu arystokratycznego towarzystwa .

„Mimo to", dodała Elżbieta z czarującym uśmiechem i wyciągnęła obie ręce w stronę Anielci, „wiedząc, że jestem lady, będziesz mię tak samo kochać, jak przedtem!"

„Naturalnie!" odparła Anielcia, „i prawdę mówiąc, miałam pewne przeczucie, że pochodzisz z wysokiego rodu. Twoje świetne wychowanie, twoja mistrzowska gra, całe zachowanie się, wszystko to mówiło mi, że niezawsze byłaś ubogą i opuszczoną, jak obecnie".

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

ARYTMOGRAF

ul. Wacław B. — Gniezno

1	6	10	12	6	18	2	3	18	2	21	8	11	5	18	2	21	3	23	5
2	5	3	13	15	2	12	6	5	12	8	1	19	7	10	12	8	6	5	9
3	7	11	8	2	1	10	16	1	10	11	21	1	20	1	10	9	16	7	8
4	6	2	7	11	11	5	10	5	5	16	5	12	21	19	5	10	5	5	3
5	8	7	14	10	19	7	12	20	7	5	7	4	4		7	1	4	22	14
	9	4		16	20	4	4	16	4		22	5	5		4	4	12	5	7
	5	5		14	5	5	5	5	5		4				5	5	5		4
	1			9	21			4			5						1		5
				1	4												4		
				6	5												5		
				10															
				17															
				10															

W miejsce liczb wstawić głoski w ten sposób aby rzędy pionowe dały nazwy 20 państw wzgl. kolonji. Pierwszy rząd poziomy da rozwiązanie.

SZARADA

ul. W. B.

Pierwsza—druga z winy bywa,
Trzecia—druga ptak się tak nazywa,
Czwarte—pierwsze w drzewie się ukrywa.
Całe — to futra znane
I z wartości podziwiane.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 3 stycznia 1936 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 50 „Moich Powieści": Tajemnicza depesza: Jeannette MacDonald, Maurice Chevalier. Tajemniczy adres: Rapsodja Bałtyku. Tajemniczy bilet: Abisynja.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Bolesław Priebe — Gniezno, H. Lipska — Brusy, Zofja Jamrożówna — Tereszewo, Lucyna Pankówna — Głowno, Cezary Władysław Zamiński — Warszawa, Józefa Kotosówna — Częstochowa, Alina Maturska — Kraków, Genowefa Potylicówna — Łódź, Brunon Kąkolewski — Modrze.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Alinie Maturskiej z Krakowa i Bolesławowi Priebe z Gniezna.

HUMOR

Bezczelność

— Już od dziesięciu lat gram na loterji i dotąd jeszcze nic nie wygrałem!

— To zupełnie tak samo jak ze mną. Już od dwudziestu lat jestem ubezpieczony od nieszczęśliwych wypadków i jeszcze nic takiego mi się nie przytrafiło.

Człowiek niezależny

Widzisz, ja robię w biurze wszystko co mi się podoba. Przychodzę sobie kiedy chcę przed ósmą, a idę do domu kiedy chcę po trzeciej.

W domu adwokata

— Prędzej, chowaj wszystkie cenne przedmioty! Złodziej, którego broniłem dzisiaj, został uniewinniony i przyjdzie dziś mi podziękować!

Wytłumaczył mu

— Tato! — pyta mały Szmulek — co to jest bankier?

— Bankier? Widzisz, to jest taki człowiek, który pożycza parasol, ale żąda jego zwrotu, jak tylko deszcz zaczyna padać.

Ach ci profesorzy!...

Znany z roztargnienia profesor K. przybył z wizytą kondolencyjną do żony swego zmarłego przyjaciela.

— Pani wybaczy, że nie przyniosłem kwiatów — powiedział z zakłopotaniem — ale wszystkie kwiaciarnie były już zamknięte, wobec czego pozwoliłem sobie kupić pudełko czekoladek.

Nie było tak źle

— Wyobraź sobie, dziś zrana, kiedy jechałem do biura w tramwaju był taki tłok, że przez całą drogę stałem na jednej nodze.

— No, i mogłeś tak długo wytrzymać?

— Kiedy to nie była moja noga...

Właśnie dlatego

W towarzystwie — rozmowa o wspólnych znajomych.

— My nigdy nie chodzimy do Kotków — mówi z dumą Kac — mimo, że nas stale do siebie zapraszają.

— A ja wiem, że oni was właśnie dlatego zapraszają, iż wiedzą, że i tak nie przyjdziecie.

Niewiadomo...

Pan Kuszpietowski spotyka na cmentarzu znajomego lekarza, krążącego wśród grobów.

— Przepraszam pana doktora — pyta Kuszpietowski — czy pan doktór spaceruje, czy przeprowadza spis inwentarza?

Dokumentnie i wyraźnie

Przed sądem dla nieletnich staje w charakterze świadka jakiś mały chłopczyk.

— Imię i nazwisko? — pyta sędzia.

— Jasio Skowronek.

— Wiek?

— 8 lat.

— Religja?

— Niedostatecznie.

Gniew sprawiedliwego

Hrabia silnie wzburzony wybiegł z pokoju.

— Stefanie — woła do lokaja — pokłóciłem się z panią hrabiną. Niech Stefan trzaśnie za mną drzwiami.

Nowa Alpuhara

Kilkadziesiąt karteli uległo już ostatecznemu rozwiązaniu.

— Już w gruzach leżą nasze posady, bo naród nie był z żelaza — wzdychają biedni dyrektorzy, pobierający dotąd niezłe pensyjki.

W sądzie

W sądzie toczy się sprawa. Zeznają świadkowie. Sędzia pyta o personalja.

— Czy świadek zamężna, czy panna?

Świadek wzdycha. Sędzia notuje: panna.

— Następny świadek, żonaty, czy kawaler?

Świadek wzdycha. Sędzia notuje: żonaty.

Skąpstwo Szkotów

W kawiarni w Aberdeen siedzi dwóch Szkotów.

— Wiesz — odzywa się jeden. — Tom Mac Grady jest taki skąpy, że gdy łowi ryby, to rozcina robaka na trzy części.

— To jeszcze nic. Tom Mac Coy jest taki skąpy że gdy ryba chwyta robaka, cofa wędkę, bo mu szkoda przynęty.

...Nie narzekałbym, gdyby...

Rozmawiałem wczoraj z pewnym restauratorem. Mówiło się o tem i owem. Wreszcie pyta jak mu się powodzi. A restaurator na to:

— Nie narzekałbym wcale, gdyby ludzie dziś byli uczciwsi...

— Czy są panu winni pieniądze?...

— Nie... Tu chodzi o co innego... nie narzekałbym ostatecznie, gdyby niektórzy z moich gości nie byli tego zdania, że łyżka jest lekarstwem które należy brać po jedzeniu...

Nowa służąca

— A dlaczego Marysia odeszła z poprzedniej służby?

— Bo pani stale ubierała się w moją bieliznę i suknie.



— Litości, zacna osobo, co łaska dla biednej ofiary bezrobocia.

— Z ust mi pan wyjął te słowa...

Pokrewny zawód

— Obaj Pikutkowscy mają pokrewne zawody, ojciec jest handlarzem antyków, a syn kompozytorem rewjowym.

— Nie widzę tu wcale pokrewieństwa zawodu?

— A ja widzę. Ojciec robi z nowych rzeczy stare, a syn ze starych — nowe.

Rozmowa przez telefon

— Hallo, czy to ty, żoneczko? Chciałem zawiadomić cię, że dziś wrócę późno do domu, bo mam okropnie dużo roboty.

— Biedaku zapracowany! A czy ta muzyka, którą słyszę, nie przeszkadza ci w twojej pracy, ty gałganie, moczymordo?!!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8 Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin